

OSKAR WILDE

*DE
PROFUNDIS*

PRZEKŁAD

MARJI FELDMANOWEJ

*W A R S Z A W A 1923
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA*

WYDAWCA

STANISŁAWA ZACHARKEWICZOWA

OSKAR WILDE
PISMA ZEBRANE

TOM TRZECI

OSKAR WILDE

DE PROFUNDIS

SZKICE I LISTY Z DOMU KARNEGO
W READING

PRZEKŁAD

M. MARKOWSKIEJ

W A R S Z A W A — 1 9 2 2
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

Było mi więc sądzonem stanąć obok Gilles de Retz i markiza de Sade. Niechże i tak będzie! Daleki jestem od skarg. Wielu rzeczy uczy nas więzienie, a więc i tego, że wszystko jest takim właśnie, jakim jest, i takim już po wsze czasy zostanie. Nie wątpię ani chwilę, że średniowieczny rozpustnik i autor »Justyny« godniejszymi są towarzyszami, niż Sandford i Merton; nasi bohaterowie z książeczek dla dzieci..

Stało się to wszystko przed dwoma laty, w pierwszej połowie listopada. Szerokie wody rzeki życia dzielą nas teraz od owej chwili w czasie, która już w taką dalekość odeszła. Człowiek wolny zaledwie zdoła ogarnąć okiem taki szmat istnienia – może nawet wcale nie potrafi uczynić tego. Mnie zaś jest, jakoby wszystko to stało mi się dziś, bo nawet: wczoraj – rzecz nie mogę. Jest cierpienie, jako

nieskończenie długa chwila. Ani podobna go według pór roku dzielić. I chyba tylko stroje jego chwycić możemy, zaznaczać ich stałe powroty. Czas bowiem dla nas nie posuwa się wcale. Nie kroczy naprzód, ale zdaje się krążyć wciąż dokoła jednego punktu, a tym punktem jest: ból. Ubez władniająca nieruchomość życia, którego szczególnie każdy uporządkował i określił niezłomny szablon: jeść i pić, iść na spacer, kłaść się spać, modlić się, a przynajmniej klękać do modlitwy, wszystko według niezmiennych prawideł żelaznego przepisu. Ta nieruchomość, która każdy rodzący się dzień z całą jego nędzą i lękiem w najmniejszych drobiazgach bliźniaczym bratem dnia ubiegłego czyni, ta nieruchomość zdaje się udzielać potęgom zewnętrznym, acz najistotniejszą ich treścią jest nieustająca odmiana. Nie wiemy, ani możemy wiedzieć o siewach lub żniwie, o kosiarzach na zbożnym łanie, o winiarzach i ich pracy po winnicach, ani wiemy o cichych murawach ogrodów, na które śnieg wonnych płatków kwiatnych leci lub spadają dojrzałe owoce.

Dla nas bowiem jedna tylko pora roku

istnieje, a miano jej: zgryzota. Bo nawet słońce i księżyc nam odjęto. Tam za murami, jaśnieje dzień w szacie, z błękitu i złota tkaney, my zaś siedzimy przy oknie osłoniętem, przy oknie z grubą żelazną kratą — sący się ku nam przez nie światło skąpe, szare. Wieczny półmrok w naszych celach, a czarna noc w sercach. W dziedzinie myśli — jak w dziedzinie czasu ustaje wszelki ruch. Zajmuje mię dziś, zajmować mię będzie jutro to, o czym wy wszyscy dawno już nie pamiętacie lub w każdej chwili z łatwością zapomnieć możecie. A gdy to rozważycie, zrozumiecie, dlaczego piszę i dlaczego właśnie tak piszę.

W tydzień później — przenoszą mię tu. Mijają trzy miesiące — umiera mi matka. Wiecie, nikt tak dobrze wiedzieć nie może, jak bardzo ją czciłem i kochałem. Zmogła mię śmierć jej tak, że — ongi mistrz i pan słowa przecież słów znaleźć nie mogłem, by wypowiedzieć moją zgryzotę i zawstydzenie. Bo wiem nigdy, nawet u szczytu mej twórczej sławy, nie byłbym zdołał bólu tak srogiemu przyodziać w słowa dostojne, ani purpurowej zjawie mej niewysłowionej męki nadać

godnej a wzniosłej harmonji. Po ojcu moim i po niej odziedziczyłem imię, które oni blaskiem czci i sławy okryli nietylko na polu literatury, sztuki, archeologii i nauk przyrodniczych, ale także w dziedzinie historii ojczyzny mojej i jej politycznego rozwoju. Imię to już wieczną hańbą okryłem. Poniżyłem je tak, że stało się słowem podłej obelgi w ustach podłych ludzi. Wtrąciłem je w błoto. Gminnej hałastrze na łup je wydałem, by zniekształniało w brutalnych dłoniach; wydałem je przeciwnikom moim, że stało się dla nich jednoznaczem z szaleństwem. Ilem wycierpiał wtedy, jak dziś jeszcze cierpię, tego żaden rylec uwiecznić nie zdoła, żadna tablica świadcząca o tem nie może. Żona moja, która czasu dni owych niezmiernie dobrą i czułą dla mnie była, oszczędzić mi chciała tego, by mi wiadomość ową obojętni ludzie, obce usta przyniosły. I mimo choroby przebyła całą długą drogę od Genui do Anglii, żeby powiedzieć mi o tej straszliwej, niepowetowanej stracie. Słowa współczucia dochodziły mię od wszystkich, którzy zachowali jeszcze życzliwość dla mnie. A nawet ci, co mię nigdy nie znali,

spieszyli wyrazić mi współbolewanie swoje na wieść, że w nędzy i niedoli mojej poraził mię taki cios...

I znów mija trzy miesiące. Na drzwiach mojej celi — z zewnątrz karta z podziałem dnia i określeniem ilości przymusowej pracy — wyrok mój również umieszczono. Karta powiada mi, że na świecie maj...

Szczęście, dobrobyt, powodzenie mogą szorstką mieć powierzchnię i pospolitą treść: cierpienie zaś najdelikatniejszym jest ze wszystkiego, co istnieje. I niemasz w świecie ducha nic, czegoby nie sięgał ból mojem straszliwym a przecież tak subtelnem żądłem. Cienutki listek złota, świadczący o siłach, dla oka ludzkiego niewidomych, wydaje się prze-grubym w porównaniu z niem. Jest cierpienie, jako rana, która krwią ociekać zaczyna, skoro tylko dotknie jej inna dłoń, nie dłoń miłości, — a nawet i wtedy krwią broczyć musi, choć już nie z bólu.

Błogosławiona ziemia, gdzie cierpienie gości. Przyjdzie czas, a ludzkość zrozumie, co to znaczy. Tymczasem nie poznała jeszcze życia. Tacy, jak Robbie, i bratnie mu dusze

mogą to zgłębić. Między dwoma policjantami prowadzono mię z domu karnego do sali sądowej. Robbie zaś czekał w długim korytarzu, by ku zdumieniu tłumów, które oniemiały wobec czynu tak wzruszającego miłości, z powagą i prostotą zdjąć przede mną kapelusz, gdym obok niego przechodził w kaidanach, ze spuszczoną głową. Zaprawdę, otwierano ludziom niebo za stokroć mniejsze usługi. Takim ogniem płonęły dusze, taką miłością biły serca świętych, gdy klękali, by umyć nogi nędzarzom, gdy pocałunek składali na licach trędowatych. Nigdy mu nie wspomniałem o tem. I do tej pory nie wiem, czy dostrzegł, że ten czyn jego zauważył. Bo nie można za to w oficjalnych słowach oficjalnie dziękować. W skarbnicy serca mego ukrywam tę chwilę. Niechaj spoczywa tam, jako dług tajemny, a wierzę ku radości mojej, że go pewnie nigdy nie będę mógł spłacić! Niechaj spoczywa tam, utrwalona drogim balsamem pamięci, chroniona od wszelkiej zmiany przez nard i mirrę niezliczonych łez! Gdy wszelka mądrość straciła dla mnie wartość, gdy bezpłodną stała się filozofja, a prze-

konywająca wymowa i bogactwo słów tych, co mi pociechę przynieść chcieli, były mi jako piasek i piekielna kurzawa na spiekłych warogach, wtedy wspomnienie o owym akcie miłości — nieznanym, milczącym, a przepięknym, było różdżką czarodziejską, dobywającą ze skał wszelkie źródła litości. Aż wody źródeł tych zmieniły zaschłe ziela pustyni w barwiste róże, aż wywiodły mię z gorzkości samotnego potępienia i sercu memu dały wspólne tętno z wielkiem, krwawem, bolejącem sercem światów. Kto pojąć zdoła nie samo tylko piękno czynu Robbi'ego, ale i to, czem był ów czyn dla mnie i czem mi zawsze będzie, ten może również zrozumie, jak i z jaką myślą przystoi mu zbliżyć się do mnie...

Pierworodne dzieło, które młody człowiek w wiosnie życia w szeroki świat wysyła, winno być, jako płatki majowych kwiatów, jak białe tarnie na łąkach Oksfordu albo pierwiosnki na polach w Cumner. Niechże nie przytłacza go brzemień straszliwej, pełnej buntu tragedji, ani straszliwych buntowniczych złorzeczeń. Gdybym kiedykolwiek pozwolił na to, by imienia mego,

jako hasła dla jakiegoś utworu użyto, po-
pełniłbym ciężki grzech artystyczny. Taki bo-
wiem fakt umieściłby odrazu utwór ów w zu-
pełnie fałszywym środowisku, a przecież *mi-
lieu* niesłuchanie wielką odgrywa rolę we
współczesnej sztuce. Względność i skompli-
kowanie składają się na nasze życie współ-
czesne — to jego znamienne, charakterystyczne
cechy. Jedna z nich wymaga tła dla oddania
drugiej, koniecznym nam jest środowisko z całą
grą najsubtelniejszych odcieni, napomknień,
z jego osobliwymi perspektywami. Dlatego to
plastyka nie jest już dziś sztuką odtwarza-
jącą, jest nią muzyka, a literatura była, jest
i będzie zawsze sztuką odtwarzającą *par
excellence*.

Co trzy miesiące przysyła mi Robbie zbio-
rowe sprawozdanie z nowości literackich.
Trudno, doprawdy, wyobrazić sobie coś ró-
wnie zachwycającego, jak te listy, tak do-
wcipne i subtelne w układzie, tak ludzkim
piórem pisane. Są to rzeczywiście listy —
gawędy poufne w cztery oczy, mają one
wszelkie zalety francuskich *causeries*. Robbie
ma w nich ten swój subtelny sposób skła-

dania mi hołdu, potrąca wciąż to o mój
dowcip, to o humor, to o wrodzone mi za-
miłowanie do piękna i kultury, przypomina
mi po tysiąc razy, że ongi słyłem u wielu
jako *arbiter elegantiarum*, jako autorytet
w artystycznych, stylowych zagadnieniach,
że dla wielu byłem nawet autorytetem naj-
wyższym. I tak daje mi dowód, że z taktem
w miłości łączy takt literacki. Listy jego, to
niby serdeczni pośrednicy między mną a tym
wspaniałym, wymarzonym światem sztuki,
w którym ongi władnym królem byłem i kró-
lem byłbym zostałem, gdyby nie zdusił mię
i nie pociągnął brutalny, niedoskonały świat
namiętności, gdzie upodobania nie znają wy-
boru a pożądania granic. A przecież, mimo
całej mej wdzięczności, łatwo można zrozu-
mieć, a przynajmniej wyobrazić sobie, że
wprost jako curiosum psychologiczne, bar-
dziej mię zajęła jakaś bliższa wiadomość o...
niż ta nowina, że Alfred Austin nosi się z za-
miarem wydania tomu poezji, że... pisze kry-
tyki teatralne do »Daily Chronicle«, albo że
Miss Meynell uznana została za nową Sy-
billę stylu przez kogoś, kto nawet takiego

natchnionego hymnu pochwalnego bez jąkania się wyśpiewać nie zdoła.

.
 Inne pożałowania godne istoty, które do więzienia wtrącają, którym odejmują wszelkie piękno świata, nie potrzebują przynajmniej do pewnego stopnia lękać się najbardziej chytrych sieci, najbardziej zatrutych strzał tego świata. Mogą one ukryć się w mrokach swej celi i nawet z pohańbienia swego uczynić nieetykalną świętość. Światu stało się zadość, kroczy on drogą swą dalej, a nieszczęsnym pozwala cierpieć w spokoju. Inaczej ze mną. Bo coraz inne cierpienie, idąc mojemu śladu, stuknęło do bram więzienia. Otwierano im wrota naościż i wpuszczano ochotnie. Przyjaciołom moim zaledwie dozwolono lub też zabroniono zupełnie odwiedzać mnie. Ale wrogowie moi o każdym czasie dostęp do mnie mieli. Oba razy, gdym przed sądem stawać musiał, oba razy, gdy mię publicznie transportowano z jednego więzienia do drugiego, w warunkach tak poniżających, że słów dla nich znaleźć nie mogę, wydany byłem na łup oczu i urągania tłumów. Posył śmierci przy-

szedł i zostawił mi pismo swoje, a sam odszedł. Opuuszczony zupełnie, odcięty od wszystkich, którzyby mię mogli pocieszyć lub ból mój ułagodzić, ginąłem w otchłani straszliwej męki, rozpacz i wyrzutów sumienia, które pamięć matki mojej budziła we mnie i zawsze jeszcze budzi. I ledwie zdołał czas uczynić ranę znośniejszą (boć nie zgojona ona jeszcze), a już z polecenia żony mojej przysyłać mi zaczyna jej adwokat listy szorstkie, gorzkie, odpychające. Nędza mi grozi i staje się powodem do zarzutów przeciwko mnie. To wszystko przecież mogłyby jeszcze dźwignąć moje barki. Potrafię się przyzwyczaić do jeszcze gorszych rzeczy. Ale oto odbiera mi prawo dwoje moich dzieci. I w ślad za tem okrucieństwem idzie bezmierna bolesć, nędza niewysłowiona, bezgraniczna zgryzota, która mię nigdy nie opuści. Prawo więc może wyrokować, może mieć władzę wydania wyroku, że nie godzi mi się przebywać z własnymi dziećmi: okropność jakaś jest dla mnie w tej myśli. W porównaniu z nią niczem jest hańba więzienia. Jakże zazdroszczę wszystkim tym mężczyznom, którzy wraz ze mną od-

bywają przechadzkę po dziedzińcu więzien= nym! Dzieci ich — o, pewien tego jestem — oczekują ich, wyglądają ich powrotu, powi= tają tysiącami pieszczoty. Ludzie biedni ma= ją mądrość i więcej od nas miłosierdzia i ser= deczności, odczuwają głębiej niż my. W oczach ich więzienie jest w życiu człowieka tragedją, niepowodzeniem, zbiegiem wypadków, czemś, co w bliźnich budzi współczucie. W języku ich więzienie znaczy to samo, co nieszczęście. Mówiąc o uwięzionym, używają zawsze tego określenia i jest ono naprawdę najwyższą mą= drością miłości. Inaczej u ludzi z naszej sfery. Tutaj więzienie zmienia człowieka w parjasa. Ja i mnie podobni zaledwie możemy jeszcze mieć prawo do powietrza i do grzechu. Sama nasza obecność zakałą jest dla uciech innych. Skoro się ukazemy znowu, jesteśmy, jako nie= proszeni goście. Zabrano nam przecież dzieci nasze. Zerwano i te słodkie więzy, które nas z ludzkością łączyły. Skazani jesteśmy na opuszczenie i samotność, chociaż synowie nasi żyją. Zabronione nam jest to jedno, coby nas mogło uleczyć i nie dać nam upaść, coby

krwawemu sercu balsamem się stało, a po= kojem i ukojeniem spłynęło na zżartą cier= pieniem duszę.

.....
Muszę to sobie samemu powiedzieć: ani... ani... choćby ich nawet przez tysiąc pomno= żono, nie zdołaliby przywieść do upadku ta= kiego, jak ja człowieka. Ja bo sam zgubiłem się. Nikogo bowiem — czy to wysoko, czy nisko stoi, żadna inna dłoń, prócz jego wła= snej, nie zdoła wtrącić w otchłań. Gotów je= stem na to wyznanie. Staram się złożyć je, chociaż teraz nawet nikt nie posądziłby mię o to. Jeśli już wyrzekłem to bezbożne oskar= żenie, tedy rozważyć należy, że oskarżenie owo bez litości przeciw sobie samemu zwra= cam. Straszliwą zbrodnię popełnił na mnie świat, aliści straszliwszą ja sam na sobie po= pełniłem. Symboliczne więzy łączyły mię ze sztuką i kulturą mego wieku. Świadomość tego była mi dana już u progu męskiej doj= rzałości, zmusiłem współczesnych do uzna= nia tej prawdy. Niewielu jest takich, co już za życia podobne miejsce posiadają, którym je świat w taki sposób przyznaje. Zwykle do=

piero krytyk lub historyk miejsce takie wyznacza, o ile ono wogóle określone zostaje, a dzieje się to zwykle dopiero wtedy, gdy i człowiek i wiek jego w daleką przeszłość odejdą. Inaczej było ze mną. Poznałem, gdzie miejsce moje, kazałem je uznać innym. Byron był również postacią symboliczną; istniała przecież łączność między nim a namiętnością jego wieku i jej przesytem namiętnościami. Moja zaś łączność kierowała się ku rzeczom bardziej szlachetnym i trwałym, ogarniała głębsze, ważniejsze zagadnienia życia, dążyła ku bardziej oddalonym celom. Genjusz, wielbione imię, wysokie stanowisko społeczne, świetność, sława — wszystko to było moim udziałem; uczyniłem filozofję ze sztuki, a sztukę z filozofji; ludzi nauczyłem inaczej myśleć, rzeczom inne nadałem barwy; każde moje słowo, każdy mój czyn wywoływał zdumienie; z dramatu — tej najbardziej obiektywnej formy, jaką zna sztuka — uczyniłem coś zupełnie subiektywnego, jak sonet, jak wiersz liryczny; rozszerzyłem jego zakres, wzbogaciłem go w charakterystyce; dramat, powieść, poezja rymowana, poezja prozą, kunsztowny dialog

z rzeczywistości, czy fantazji wysnuty, — wszystkiemu, czegokolwiek się dotknąłem, dawałem uroku, wszystko brało na się jaśniejszą szatę nowego piękna, nawet prawdzie samej oddałem prawdę i fałsz, jako prawowite królestwo i dowiodłem, że prawdziwe i fałszywe są jedynie intelektualnymi formami istnienia. Uważałem sztukę za najwyższą rzeczywistość, a życie jedynie, jako jedną z odrośli poezji. Rozbudziłem fantazję mego stulecia, aż stwarzać zaczęto dokoła mnie mity i legendy. Wszystkie systematy filozoficzne ująłem w jedno zdanie, a całokształt istnienia w jeden epigramat. A przecież nie na tem kończyło się moje ja. Dałem się skusić stałemu czarowi bezrozumnej zmysłowej wygody, dobrobytu. Bawiło mię, że taki ze mnie flaneur, dandy, bohater mody. Otoczyłem się ludźmi o małej duszy, istotami z nizin.

Stałem się marnotrawcą własnego genjuszu i dziwną przyjemność znajdowałem w marnowaniu wieczystej młodości. Znużyło mnie przebywanie na wyżynach i z własnej woli i ochoty zeszedłem w otchłanie, by szukać nowych ponęt. Co w sferze myśli było dla

mnie paradoksalnem, stało się *perwers* w dziedzinie namiętności. Żądza była właśnie chorobą, czy szaleństwem, a może jednym i drugim. Życie innych stało się dla mnie niczem. Czyniłem zadość moim požądaniom, kiedy mi się podobało, i szedłem dalej. Zapomniałem zupełnie, że każdy drobny czyn codziennego życia kształtuje lub niszczy charakter i że dlatego wszystko, cokolwiek tajemnie wśród czterech ścian pokoju spełnione zostało, kiedyś z dachu domu gromkim głosem obwołać będzie trzeba. Straciłem panowanie nad sobą. Nie byłem już sternikiem własnej duszy i nie wiedziałem o tem. Pozwoliłem, by mi uciechy jarzmo nałożyły. Aż przyszedł kres: owa straszliwa sromota.

Jedno mi teraz tylko pozostało: najzupełniejsza pokora. Oto już prawie dwa lata przebywam w więzieniu. I były chwile, że oszalała rozpacz chwytiała mię za włosy; zmagał mię taki żal, że sam mój widok litość wzbu-
dzał; miotała mną bezsilna, straszliwa wściekłość; gorycz i pogarda wypełniały mi duszę; męka głośne krzyki wyrывała z mej piersi; a potem znów brakło nędzy mojej głosu

i niemym był mój ból. Przebyłem wszelkie stany cierpienia, jakie myśl ogarnąć zdoła. I pojmuję teraz lepiej, niż sam Wordsworth, co chciał w tym wierszu wyrazić:

»Cierpienie wieczne jest, żalosne, mroczne i nieskończoność przypomina«.

Jeżeli jednak bywały chwile, żem upodobanie znajdował w myśli, iż nieskończenie trwać będzie mój ból, wtedy przecież znosić go nie mogłem, żadnego bowiem nie miał dla mnie znaczenia. A teraz oto, w tajnikach mej istoty odnajduję coś, co mi powiada, że nie masz na świecie nic bez znaczenia, a cóż dopiero, gdy o cierpienie chodzi. A to coś, porzebane we mnie tak głęboko, niby skarb gdzieś w polu zakopany — to pokora.

Jest ona we mnie tym najdoskonalszym i ostatecznym celem, do którego doszedłem nareszcie; punktem wyjścia nowego rozwoju. Wytworzyła się ona wyłącznie ze mnie i we mnie; wiem też, że we właściwym czasie przyszła. Nie mogła bowiem przyjść, ani wcześniej, ani później. Gdyby mi ktoś próbował powiedzieć o niej, byłbym ją odepchnął od siebie. Ale oto sam ją odnalazłem i dlatego

też zachować ją pragnę. I nie mogę uczynić inaczej. Jest ona bowiem tem jedynem, co ukrywa w sobie zarodki życia, zarodki nowego innego życia dla mnie, prawdziwej *Vita nuova*. I ze wszelkich rzeczy jest ona najbardziej cudowna. A zdobyć jej nie można, chyba wtedy, gdy się człowiek wyrzeknie wszystkiego, co swoim własnym nazywa. I wtedy dopiero, gdy wszystko utraci, wie dzieć może, że ją posiada.

Teraz, przekonany już o tem, że istnieje ona we mnie, widzę jasno i wyraźnie, co mi czynić należy, co bezwzględnie uczynić muszę. A jeśli używam takiego właśnie wyrażenia, nie potrzebuję przecież zapewniać, że nie mam na myśli jakiegokolwiek prawa lub przykazania zewnętrznego świata. Zaprzeczam ich istnieniu. Jestem dziś większym niż kiedykolwiek indywidualistą. Pozbawionem wartości wydaje mi się wszystko, cokolwiek nie wypływa z mego wewnętrznego ja. Moje ja szuka dróg do samorodnego stworzenia siebie.

I to jedynie zajmuje mnie teraz. Pierwszym zaś krokiem, który winienem uczynić, jest: wyżyć się wszelkiego — istniejącego może jeszcze

we mnie — rozgoryczenia przeciw światu. Pozbawiony jestem wszelkich środków — ani domu, ani kąta własnego. Srożej przecież los dotknąć potrafi. Świętem i prawdziwym jest też postanowienie moje, jeśli powiadam, że nie porzucę więzienia z sercem, przepelnionem gniewem na świat. raczej ochotnie żebrac będę o chleb i od drzwi do drzwi kołatać. Choćby mię odprawiono z niczem od progów bogaczów, nie odmówiliby mi pewnie darów ubodzy. Kto wiele posiada, ten najczęściej chciwym jest i twardego serca. A ubogi zawsze gotów podzielić się tem, co do niego należy. I nie robiłoby mi najmniejszej różnicy, gdybym latem na rośnej trawie sypiać musiał, a w zimie szukał schronienia w tęgim ciepłym stogu siana albo pod dachem wielkiej szopy — byle tylko miłość mieszkała w mojem sercu. Zewnętrzna błyskotliwość życia utraciła teraz dla mnie wszelkie znaczenie. Z tego wywnioskować można, jak daleko zaszedłem już w indywidualizmie, a raczej jak daleko stopniowo zajdę, bowiem droga długa przedemną, a ciernie mi się pod nogami ścielą. Wiem przecież aż nadto dobrze, że nie przypadło

mi w udziale na drogach o jałmużnę prosić a gdybym kiedykolwiek nocą leżał w chłodnej trawie, pisałbym pewnie sonety do księżyca.

Kiedy opuścę więzienie, tam, przed wielką bramą o żelaznych słupach, oczekiwać mię będzie Robbie, jako symbol nie tylko własnego swego przywiązania, ale i przywiązania tych wszystkich, którzy są poza nim. Zdaje mi się, że pozostało mi tyle jeszcze, by przy najmniej jakieś półtora roku mieć z czego żyć, jeśli w czasie tym nie będę w stanie pisać pięknych rzeczy, będę mógł przecież piękne rzeczy czytać. Zali może istnieje większa radość? A potem zdołam z pewnością stworzyć na nowo mą siłę twórczą. Gdyby przecież inaczej było, gdybym na świecie całym żadnego nie miał przyjaciela, gdyby żaden dom litościwie nie stanął mi otworem, gdybym wziąć musiał sakwy i łachmany biedoty: półkiby dalekimi były odemnie okrucieństwo, pogarda i żądza zemsty, mógłbym w oblicze życia spoglądać z większym spokojem i ufnością, niż gdyby cieniuchne płótna i purpura okrywały me ciało, a dusza od nienawiści chorzała. I wierzę, że żadnych trudności na

drodze mej nie napotkam. Kto prawdziwie i gorąco pragnie miłości, na tego ona oczekiwać będzie.

Nie trzeba mi chyba dodawać, że nie na tem koniec mego zadania. Bowiem wtedy byłoby ono względnie łatwym. Czekają zaś na mnie rzeczy o wiele trudniejsze. Wedrzeć się muszę jeszcze na bardziej strome szczyty, mroczniejsze przebyć doliny. A pomoc mi nie zdoła ani religja, ani moralność, ani rozum. Moralność pomoc mi nie może. Jestem urodzonym antynomistą. Należę do tych, którzy stworzeni zostali po to, by stwierdzać istnienia wyjątków, a nie praw. Widzę, że niesprawiedliwość wyraża się nie w tem, co człowiek czyni, ale w tem, czem się staje. Poznanie tego niesłychanie jest potrzebne. Religja nie może mi pomóc. Jeżeli inni wierzą w świat niewidzialny, ja wierzyć potrafię w to tylko, czego dotknąć, co oglądać mogę. Bóstwa moje zamieszkują świątynie, ludzkimi dłońmi wzniesione; w zakresie rzeczy-wistych doświadczeń uzupełnia się i doskonali moja ewangelja — może za bardzo nawet: bowiem jak wszyscy ci, a przynajmniej więk-

szość tych, którzy nieba na ziemi szukają, i czary nieba i okropności piekła na ziemi znalazłem.

Gdy zaczynam rozmyślać nad religią, doznaję uczucia, że z wielką ochotą założyłbym zakon dla tych, którzy wierzyć nie mogą. Moznaby go nazwać zakonem niewierzących. U ołtarza, na którymby żadna nie płonęła świeca, kapłan o sercu nieznanym pokoju, sprawowałby służbę bożą, mając chleb niepoświęcony i kielich bez kropli wina. Wszystko, co ma być prawdziwym, musi stać się jakąś religią. Nauka agnostyków powinna mieć tak samo rytuał, jak wiara kościelna. Posiała ona męczenników, powinna więc zebrać świętych i codzień dziękować Bogu za to, że się ukrył przed oczyma ludzkimi.

Ale czy to o wiarę, czy o agnostycyzm chodzi — nie może być dla mnie nic zewnętrznego. I jakkolwiekby było, symbole wszelkiej nauki sam tylko mógłbym stworzyć. Transcendentalnem jest bowiem to tylko, co dla się własną formę kształtuje. Jeśli tajemnicy tego we własnej piersi nie odnajdę, tedy nie odnajdę jej nigdy; jeśli jej już nie posiadam,

tedy nigdy nie przypadnie mi ona w udziale.

I rozum pomóc mi nie może. Powiada mi on, że prawa których ofiarą się stałem, błędne są i niesprawiedliwe, że system który mi tyle cierpień zgotował, błędnym jest i niesprawiedliwym. Ale przecież mogę w jakikolwiek sposób jedno i drugie tak przystosować, by się słusznymi i sprawiedliwymi dla mnie stały. Z etycznym rozwojem charakteru dzieje się to samo, co w dziedzinie sztuki, gdzie każdy tem tylko się zajmuje, co dla niego jest w danej chwili danym przedmiotem. Bowiem zadanie moje na tem polega, bym zużył na dobre dla siebie wszystko, cokolwiek mię spotyka. Tapczan z desek, wstręt budzące jadło, grube powrozy, rozstrzępiane w pakuły, aż końce palców martwieją od bólu, najniższe posługi, któremi dzień każdy zaczyna się i kończy, szorstkie rozkazy, które rutyna zdaje się niezbędnymi czynić, ohydna odzież, komiczne jakieś światło rzucająca na niedolę, milczenie, samotność, hańba: — wszystkie te doświadczenia na język duchowy przetłumaczyć muszę. Wszystko, cokolwiek poniżej moje ciało, winno, dzięki usiłowaniom moim,

dźwignąć mię na duchu. Dojść pragnę do tego, bym bez żadnej przesady i z całą prostotą mógł powiedzieć, że w życiu mojem widzę dwa wielkie punkty zwrotne: pierwszy — gdy ojciec wysłał mię do Oksfordu, drugi — gdy społeczeństwo wysłało mię do więzienia. Nie chcę zaś rzec: było to najlepsze, co mię spotkać mogło, bowiem w słowach takich wyczuwałoby się zbyt wiele rozgoryczenia przeciw samemu sobie. Raczej wolałbym wyrazić się w ten sposób, pragnąc, by i inni podobnego użyli określenia: byłem tak bardzo typowym dzieckiem swego czasu, że w przewrotności mojej — i dla tej przewrotności właśnie, wszystko dobre w mojem życiu zamieniłem w złe, a wszystko złe w dobre.

Przecież nie o to chodzi, co sam o sobie powiem lub też inni o mnie powiedzą. Bowiem to najważniejsze, to, do czego dążę, czego winienem dokonać, zanim krótki szmat mego życia stanie się kalekim, zniszczonym, niezupełnym — jest właśnie: wszystko, cokolwiek na mnie popełniono, należy mi wchłonąć w siebie, uczynić częścią mego ja, przyjmować to bez niezadowolenia, lęku lub oporu.

Największym występkiem jest połowiczność. Wszystko, co ziściło się, sprawiedliwym jest.

Kiedy rozpoczynałem moje więzienne życie radzili mi niektórzy, bym starał się zapomnieć, kim jestem. Zgubna to była rada. Bowiem jedynie w zachowaniu świadomości, kim jestem, znajdowałem nieco pociechy. Teraz zaś radzą mi wszyscy, bym po wyjściu z więzienia starał się zapomnieć o tem, że byłem w więzieniu. Ja zaś wiem, że i ta rada jest zgubna. Bo przecież w takim razie musiałbym do grobu dźwigać brzemię nieznośnej hańby; wszystko, co dla mnie, jak dla każdego innego człowieka, tak wielkie ma znaczenie: piękność słońca i księżyca, zmienna krasa pór roku, harmonijny hejnał budzącego się dnia i milczenie długich nocy, muzyka deszczu po liściach drzew, rosa, srebrzyste sieci rzucająca na trawy — wszystko to byłoby dla mnie splamionem, straciłoby moc kojącą i władzę weselenia serca. Bowiem żałować własnych doświadczeń — to powstrzymać własny rozwój. A wypierać się własnych doświadczeń, to znaczy własnemu życiu kłamstwo wciskać na usta. Zupełnie, jakby

ktoś chciał wyprzeć się własnej duszy. Tak samo bowiem jak ciało przyjmuje wiele, jak przyjmuje pospolite i nieczyste na równi z tem, co pobłogosławił kapłan lub uświęciły wizje, jak zamienia wszystko to na rzeźwość lub siłę, na wspaniałą grę mięśni, jaśniejące kształty, barwy i formy oczu, ust, włosów, — tak również i dusza posiada swoje narządy odżywiające. Może ona to, co w istocie swojej pospolitem jest, okrutnem, poniżającym, zamienić na szlachetne popędy i namiętności, pełne głębokiego znaczenia, — więcęj nawet; może w tem właśnie odnaleźć najwznioślejszą treść, na skutek której zdoła się rozwinąć, zdoła objawić się najdoskonalej dzięki temu, co początkowo miało cele niszczące lub świętokradzkie.

Z faktem, że byłem pospolitym więźniem w pospolitym domu karnym, muszę się koniecznie pogodzić, choćby się to nawet niesłychanie dziwnem wydawało: przecież jedna z prawd, któremi przejąć się muszę, jest, że nie wolno mi się tego wstydzić. Bo na fakt ten muszę poglądać, jako na spotykającą mnie karę, kto zaś wstydzi się swojej kary, ten

jakoby nigdy jej nie doznał. W każdym razie odpokutowałem za niejedno, czego — a tak mi przekonanie moje mówi — nie popełniłem, z drugiej zaś strony, istnieje wiele rzeczy takich, których wina — głos mego przekonania — jeszcze na mnie ciąży, a jeszcze więcęj widzę w mojem życiu takich, za które mi nigdy nie pociągano do odpowiedzialności. Toż powiedziałem: niezbadane są drogi bogów; jednako karzą nas oni za to, co jest w nas ludzkim i dobrem, i za to, co złem jest i przewrotnem. Muszę więc liczyć się z faktem, że kara spada na nas i za złe i za dobre czyny. A nie wątpię bynajmniej, że tak właśnie dzieje się sprawiedliwie. I jest, a raczej byłoby najlepiej dla każdego, poznać dokładnie i jedno i drugie, by nie mieć podstawy do żadnych urojeń.

Jeżeli więc — a taką przecież mam nadzieję — nie będę się wstydział mej kary, tedy będę w stanie myśleć, poruszać się i żyć, jak zupełnie wolny człowiek. Wielu jest takich, co przy uwolnieniu zabierają ze sobą więzienie na czyste, świeże powietrze, chwają je w sercu, niby wieczną hańbę, aż

wreszcie, jak biedne zatrute istoty szukają kryjówek, by w niej umrzeć. I straszne to jest, że nic innego im nie pozostaje, a ze strony społeczeństwa wielka to, okropna niesprawiedliwość, że ich na tę drogę popycha. Społeczeństwo przypisuje sobie prawo nakładania najokropniejszych kar na jednostki, a zarazem popełnia ono największą zbrodnię połowiczności, bowiem nie potrafi dokonać tego, co uczyniło. Bo gdy człowiek karę swoją odcierpi, społeczeństwo pozostawia go samemu sobie, a raczej, rzechy należało, daje mu upaść właśnie w tej chwili, gdy się dlań wobec tego człowieka największy z obowiązków poczyna. Społeczeństwo więc wstydzi się swoich własnych uczynków i unika skazanych, tak, jak ci, co zmykają przed wierzyicielem, któremu długów zapłacić nie mogą, albo przed człowiekiem, któremu niepowetowaną, niepowrotną wyrządzili krzywdę. Co do mnie zaś, wymagam, gdy sobie uprzętam, ilem cierpiał, by społeczeństwo uprzętomniło sobie, co mi uczyniło; dla tego też z obu stron nie powinno być ani rozgoryczenia, ani nienawiści. Rozumiem oczywiście,

że gdy o mnie chodzi, sprawa staje się trudniejszą, musi być trudniejszą przez samą naturę rzeczy. Ci biedni złodzieje i włóczęgi, którzy tu wraz ze mną siedzą, są pod niejednym względem szczęśliwsi ode mnie. Tę małą przestrzeń, która w mrocznych uliczkach miejskich lub wśród zielonych pól zbrodnię ich widziała, tak łatwo zostawić za sobą; jeśli zapragną towarzystwa ludzi, nieświadomych ich występku, dość im będzie tylko przejść, ile przelecieć zdąży ptak od pierwszego brzasku do świtu. Dla mnie zaś świat cały zmałał do jednej piędzi; gdziekolwiek się zwrócę, widzę imię moje spiżowemi głoskami na skałach wyryte. Ja bowiem nie wyszedłem z mroków na jaskrawe światło momentalnej sławy występku, ale ze szczytów nieśmiertelnej chwały runąłem w przepaść wiecznej hańby. Czasem mi się zdaje, że ja to właśnie byłem doskonałym dowodem — jeśli wogóle trzeba na to dowodów — że od sławy do niesławy jeden tylko krok, a nawet mniej, niż jeden krok. A przecież w tem, że gdziekolwiek się ukażę, ludzie mnie poznają i o życiu mojem wiedzieć będą wszystko, o ile zwracali

uwagę na jego szaleństwo – w tem właśnie nawet mogę dla siebie dobre widzieć strony. Z tego bowiem rodzi się dla mnie konieczność, bym znów uważał siebie za artystę – bym uczynił to jak najprędzej. Bo jeśli zdołam wspaniałe dzieło sztuki stworzyć, wtedy będę w stanie odjąć jad oszczerstwu, pozbawić żądła tchórzostwo, wyrwać z korzeniem bezczeszczący język. Jeżeli życie jest dla mnie rzeczywiście problemem, tedy i ja jestem w równej mierze problemem dla życia. A ludzie muszą znaleźć sposób postępowania w stosunku do mnie. Chyba nie potrzebuję tu dodawać, że nie mam na myśli pewnych indywiduów. Jedyni ludzie, których pragnąłbym teraz mieć koło siebie, to artyści i ci, co cierpieli: jedni wiedzą, czem jest piękno, drudzy – czem jest ból. Poza nimi nikt mię nie obchodzi. Nie stawiam też żadnych wymagań życiu. Wszystko, cokolwiek tu powiedziałem, zmierza do jednego celu: do mego duchowego stanowiska wobec życia w jego całokształcie. Czuję, że nie powiniennem wstydzić się mojej kary: to jedna z pierwszych zdobyczy, o którą kusić się muszę ze względu

na udoskonalenie mego ja, które tak bardzo jest niedoskonałe.

I muszę się nauczyć być szczęśliwym. Był czas, żem posiadał tę umiejętność, a przynajmniej zdawało mi się, że ją posiadam – instynktownie. Wtedy bowiem zawsze gościła wiosna w mem sercu. Węzły dziwnego pokrewieństwa łączyły temperament mój z radością życia. Życie moje po brzegi wypełniłem uciechą, jak po brzegi napęlnia się kielich winem. A teraz pod innym zupełnie kątem widzenia przystępuję do życia; chwilami jest mi nawet niesłychanie trudno pojąć choćby wyobrażenie o szczęściu. Przypominam sobie – było to podczas mego semestru w Oksfordzie – czytałem w »Odrodzeniu« Patera (książka to, która taki dziwny wpływ na życie moje wywarła) – o tem, jak Dante w otchłaniach Inferno przebywać każe tym, którzy się dobrowolnie smutkowi oddali, poszedłem później do biblioteki kolegum i otworzyłem w Boskiej Komedji karty, mówiące o tych, którzy pod bagniskiem piekła przebywają, którzy »w przesłodkiem powietrzu

smętku pełni byli«, a teraz w ciągłych westchnieniach powtarzają:

Tristi fummo

Nell'aer dolce, che dal sol s'allegra.

Wiem, że *accidia* była potępioną przez kościół, ale cały ten pomysł wydawał mi się niesłychanie fantastycznym, a grzech jednym z tych grzechów, które tylko nieświadomy życia kapłan wymyśleć może. Trudno mi również było zrozumieć, jak mógł Dante, który w innym miejscu powiada: »Boleść znów z Bogiem nas łączy« — tak bardzo być surowym dla tych, co umiłowali melancholję — jeżeli już naprawdę tacy istnieli. Nie przezuwałem, że ona właśnie stanie się kiedyś jedną z największych pokus mego życia. Podczas pobytu w więzieniu w Wandsworth życzyłem sobie śmierci. Umrzeć — było mojem jedynem pragnieniem. Kiedy po dwumiesięcznym pobycie w oddziale chorych przeniesiono mię tu, a moje zdrowie fizyczne poprawiało się stopniowo, wprost szalałem z gniewu. Postanowiłem, że w dniu wypuszczenia mnie na wolność popełnię samobójstwo. Po jakimś czasie przeszedł ten roz-

strój, postanowiłem żyć, ale przyoblec się w smęt, niby król w swoje purpury. Postanowiłem, że nigdy uśmiech na ustach moich nie zagości, że domem żałoby uczynię dom, którego próg przestąpię. Przyjaciele moi kroczyć mieli obok mnie powoli, pogrążeni w żalności. Ja zaś uczyć ich chciałem, że melancholja jest prawdziwą tajemnicą życia; chciałem radość ich zatruć goryczą cierpień cudzych, męczyć ich własnym moim bólem. Teraz inaczej zupełnie myślę o tem. Byłoby bowiem niewdzięcznością wielką i brakiem wszelkiej życzliwości z mej strony witać przyjaciół moich twarzą tak żalną, że chcąc mi czasu odwiedzin współczucie swoje okazać, musieliby lica swoje jeszcze żalniejszymi uczynić; albo też zaprosiwszy ich żądać, by w milczeniu zasiedli do gorzkich ziół i uczyły pogrzebowej.

Muszę więc nauczyć się, jak być szczęśliwym i dobrej myśli. Ostatni i przedostatni raz, gdy przyjaciółom moim pozwolono odwiedzić mnie, dokładałem wszelkich starań, by być jak najweselszym, dać im dowód pogodnego usposobienia i w ten sposób wy-

nagrodzić im choć w części podróż z Londynu. Wiem, że drobna to i mała danina wdzięczności, ale i to wiem, że ona właśnie najmiłszą im była. W sobotę, tydzień temu, wolno mi było całą godzinę rozmawiać z Robbie; starałem się tedy, by mu możliwie wyraźnie okazać, jak wielką jest radość moja z powodu tego widzenia. Że poglądy i pojęcia, które wytwarza tu w ciszy praca mej duszy, wiodą mnie na właściwą drogę, o tem najlepiej przekonywa mię fakt, że po raz pierwszy od chwili skazania mnie, uczuвам prawdziwe pragnienie życia. Tak wiele zadań widzę przed sobą, że, doprawdy, za najstraszliwszą tragedję musiałbym poczytać śmierć, zanimby mi danem było zadania te choć w części wykonać. Widzę bowiem nowe możliwości rozwoju w sztuce i życiu, a każda z nich jest nową drogą do doskonałości. Pożądám życia, abym mógł zgłębić to, co teraz jest dla mnie jakoby zupełnie nowym światem.

Chcecie dowiedzieć się, co jest tym nowym światem? Łatwo wam będzie odgadnąć. To świat, w którym przeżyłem ostatnie dwa lata.

Ten mój świat nowy — to cierpienie i wszelka mądrość, której ono nas uczy. Pierwej bowiem całym życiem mojem służyłem jedynie radości. Unikałem bólów i trosk. Budziły one we mnie wstręt. I usilnie trwałem w postanowieniu, by ich nie widzieć wcale, by je wprost za kalectwo uważać. Brakło dla nich miejsca w gmachu mojego życia. Nie uznawał ich mój system filozoficzny.

Matka moja, która tak dobrze, tak wszechstronnie poznała życie, powtarzała mi często wiersz Goethego — napisał go ongiś na jakiejś książce Carlyle. O ile sobie przypominam, wiersz ten w jego przekładzie brzmiał:

Hho never ate his bread in sorrow,
Who never spent the midnight hours
Weeping and waiting for the morrow, —
He knows you not, ye heavenly powers.

Wiersz ten zwykła była powtarzać na wygnaniu, w poniżeniu szlachetna królowa pruska, z którą tak brutalnie obszedł się Napoleon. Wiersz ten tak często powracał na usta matki mojej w późniejszych latach, w ciężkich chwilach życia. Ja zaś poprostu oparłem się temu, by własnością swoją uczy-

nić albo choćby do wiadomości przyjąć potężną prawdę, w słowach tych zawartą. Nie byłem w stanie jej zrozumieć. I przypominam sobie dziś jeszcze słowa moje, do matki wtedy powiedziane, — że najmniejszej nie czuję ochoty, by chleb mój we łzach spożywać, a noce bezsenne płaczem wypełniać, czekając jeszcze smutniejszego ranka. Nie przeczuwałem wtedy, że taką właśnie osobliwość przeznaczają dla mnie Parki, bo przecież cały rok życia wypełniły mi te bezsenne noce i chleb, we łzach spożywany. Miara moja została mi więc wymierzona. W ciągu ostatnich miesięcy, po ciężkich walkach i zmaganiu się z sobą, zdołałem przecież pojąć nieco z tej mądrości, która w sercu zgryzoty mieszka. Duchowni i ludzie, którzy zwykli stosować wyrażenia i określenia zupełnie bez sensu i rozumienia rzeczy, mówią często o cierpieniu, jako o tajemniczym misterjum, a przecież ono właśnie jest objawieniem. Bo przez nie poznaje się rzeczy, które nigdy na myśl nie przychodziły. Pod innym kątem widzenia po-
gląda się odtąd na historję. Co za ledwie słabem, instynktownem było przeczuciem w sztu-

ce, zmienia się w dziedzinie myśli i uczucia w rzeczywistość, w zjawisko doskonale jasne, w potężną moc wyobraźni.

Widzę teraz, że ból — jako najszlachetniejsza z uczuć, do których zdolny jest człowiek, — jest zarazem praformą i probierzem wszelkiej wielkiej sztuki.

Bowiem wiecznem dążeniem artysty jest właśnie owa forma istnienia, w której ciało i dusza zlewają się w jedną nierozłączną całość, zewnętrzna szata staje się wyrazem dla tajników wewnętrznych, wyłania się z obsłon treść. A te formy istnienia wielce są różnorodne: ot, może być dla nas wzorem choćby młodość i wszelkie sztuki odtworzeniu jej oddane. Pocięchą również może być dla nas myśl, że spólczesne malarstwo krajobrazów z tą subtelną delikatnością wrażeń, z tym sposobem zaznaczania duchowej treści, która zewnętrzne kształty wypełnia i przyobleka się w szaty, uczynione z ziemi i powietrza, z mgły i widoków miast, — że to spólczesne malarstwo krajobrazów w swej chorobliwie drażliwej harmonji nastrojów, tonów i barw urzeczywistnia dla nas to właśnie, co u Gre-

ków wyrosło do tak plastycznej skończoności. Muzyka, w której forma tak pochłania treść, że się obie jednością stają, jest takim skomplikowanym przykładem, dziecko zaś lub kwiat – to prosty przykład tego, co mam na myśli. A ból znowu jest typem skończonym i w życiu i w sztuce. Pusty śmiech wesołości może osłaniać usposobienie twarde, ostre, surowe: poza bólem ukrywa się zawsze tylko ból. Cierpienie nie znosi maski, jak to radość czasem czyni. Prawda w sztuce nie polega na wzajemnym oddziaływaniu na siebie istotnej myśli i jej przypadkowego istnienia, nie jest ona podobieństwem między postacią a jej cieniem, czy też między odbiciem bezkształtu w kryształowej płycie a kształtem samym; ani jest ona echem, wołającym ku nam od przestrzennych wzgórz, ani też owym źródłem srebrzystym, w którego wodach księżyc w oblicze swoje pogląda albo Narcyz podziwia sam siebie. Prawdą w sztuce jest jedność jakiejś rzeczy z jej najistotniejszą treścią, jedność taka, że strona zewnętrzna staje się wyrazem wewnętrznego świata, że dusza staje się cia-

łem, a duch ciało przenika. Dlatego też żadnej prawdy porównać nie można z cierpieniem.

I wydaje się czasem, że jedyną prawdą jest cierpienie. Inne bowiem uczucia są już to ułudami wzroku, już to omamieniem żołądka: ten olśniewają, a nasycają tamten. Przecież z cierpienia tylko powstały światy, narodziny dziecięcia czy gwiazdy zawsze z bólem są połączone. I więcej jeszcze: cierpienie posiada w sobie niesłychanie potężną rzeczywistość.

Powiedziałem już o sobie, że symboliczne więzy łączyły mnie ze sztuką i kulturą mojej doby. Niemasz w tym domu nieszczęścia żadnego nieszczęśnika, żadnego ze spóźnień moich, którego by symboliczne więzy nie łączyły z tajemnicą życia. Bowiem tajemnicą życia jest cierpienie. Ukrywa się ono we wszystkim. Ledwie na progu życia stanimy, a już wita nas słodycz taką słodyczą, a gorycz taką gorzkością, że poniewoli pragnienie nasze tylko ku radości zwracamy, że »nie miesiąc ani dwa miód pożywać chcemy«, ale jużbyśmy nigdy innego pokarmu nie żądali, choćby nam nawet zupełnie zapomnieć

przyszło o tem, że duszę naszą przecież na śmierć głodową skazujemy.

Przypominam sobie dobrze, że mówiłem kiedyś o tem z jedną z najpiękniejszych istot, jakie znałem kiedykolwiek, — z kobietą, której żywe współczucie i szlachetna dobroć, okazywana mi przed uwięzieniem i w ciągu całej tragedji, były wprost czemś nadziemskim, na co słów znaleźć niepodobna; z kobietą, która bardziej niż ktokolwiek na świecie pomagała mi dźwigać brzemię moich trosk, acz sama zupełnie nie miała świadomości tego. Wszystko zaś jedynie dzięki temu faktowi, że istnieje i że jest taką, jaką jest: ideałem i zarazem przemożną potęgą, i przeczuciem tego, czem staćby się można i prawdziwą podporą dla postanowienia, by właśnie cel ten osiągnąć. Jest ona duszą, która dzień powszedni dziwną słodyczą wypełnia, świat ducha ukazuje oczom z taką prostotą i naturalnością, niby słońce lub morze, w której źrenicach piękno i cierpienie podały sobie dłonie i jedno posłannictwo wieszczą. Przypominam sobie doskonale, że właśnie przy sposobności, która mi się teraz nasuwa, powiedziałem do niej: star-

czy trosk i niedoli z jednej ciasnej uliczki Londynu, by dowieść, że Bóg nie kocha ludzi; wszędzie, gdzie tylko ktoś cierpi, — choćby to było dziecko małe, płaczące w kącie ogródka dlatego, że zawiniło lub że je niesprawiedliwość jakaś spotkała, — wszędzie, gdzie cierpią, skażonem zostaje oblicze stworzenia. Ten mój sąd był zupełnie niesłuszny. Powiedziała mi to ona, ale przecież nie mogłem uwierzyć. Przebywałem bowiem w kole wyobrażeń, które z podobnemi poglądami nie mogły mieć nic wspólnego.

Teraz zaś wydaje mi się, że jedynie miłość jakaś może być wyjaśnieniem tej otchłani boleści, która na świecie istnieje. Nie może bowiem myśl moja innego wyjaśnienia znaleźć. A nawet przekonany jestem, że wogóle innego nie masz. Bo jeśli światy — jak już powiedziałem przedtem — powstały z cierpienia, to ostatnie dłoń miłości stworzyć musiała; bowiem na żadnej innej drodze nie mogłaby dusza człowieka, dla którego istnieją owe światy, osiągnąć całej pełni doskonałego rozwoju. Radość przeznaczona jest dla pięknego ciała, ból — dla pięknej psyche!

Jeżeli jednak mówię, że przekonany o tem jestem, za wiele widzę dumy w moich słowach. Tam, w bezmiernej dali, ukazuje się oczom — niby cudna perła bez skazy — miasto boże. A tak cudownem jest ono, iż myśl przychodzi wnet, że nawet dziecko zdołałoby doń dojść w pogodny, letni dzień. I zaprawdę, może to uczynić dziecko. Inaczej przecież dzieje się, gdy chodzi o mnie lub mnie podobnych. Można bowiem pojąć coś w jednej chwili, aliści znów ono ginie i przepada w ciągu tych nieskończonych, wlokących się, ołowianostopych godzin. Trudno jest niesłuchanie »utrzymać się na szczytach, na których ma prawo przebywać dusza«. Myśli nasze należą do wieczności, ale my sami tak powoli posuwamy się poprzez czas. Nie potrzebuję już chyba mówić o tem, jak wolno płynie czas dla nas, których mury więzienia otaczają. Ani o tej nudzie i rozpacz, które biorą w posiadanie naszą cełę i cełę naszego serca z taką wytrwałością, że doprawdy trzeba dla nich dom wyporządzić i ustroić niby na przyjęcie niepożądanego gościa, srogiego pana lub niewolnika, którego niewol-

nikiem jest się — już to z wypadku, już z własnego wyboru.

Trudno może będzie uwierzyć przyjacielom moim w to, co powiem a tak jest przecież: o ileż łatwiej im, którzy wolnością się cieszą i próżniacze a wygodne wiodą życie, o ileż im łatwiej przejąć się nauką pokory, niż mnie, który dzień mój zaczynam od tego, że na kolanach podłogę celi mojej myję. Bowiem życie moje więzienne, pełne braków i ograniczeń, robi z człowieka buntownika. I najokropniejszym jest nie to, że serce pęka — na to są przecież serca, by pękały, — ale to właśnie, że serce w kamień się obraca. Przemoznym głosem odezwie się nieraz uczucie, jakoby dzień przeżyć można było z czołem miedzianem i ustami, w szyderstwo zamienionem. W czyjej zaś duszy wre bunt, ten nie może dostąpić łaski — jeżeli już użyć mam wyrażenia, którem się z takim upodobaniem posługuje Kościół. Dodałbym nawet, że jest ono zupełnie słuszne, bowiem i w życiu i w sztuce taki nastrój buntowniczy zamyka drogi duszy i nie dopuszcza do niej niebieskiego powiewu. Jeśli już przecież nauki te

mam sobie przyswoić, stać to się musi tutaj; wielką też winna być radość moja, jeżeli stopy moje właściwą odnalazły drogę a oblicze obróciło się »ku wrotom, które pięknymi zowią«, choćbym czasem nawet w błoto miał upaść lub we mgle się obłąkać.

To nowe życie – miłość dla Danta, każe mi je czasem nazywać w ten sposób – nie jest przecież oczywiście żadnem nowem życiem, ale wprost, dzięki rozwojowi, dalszym ciągiem i ewolucją mego poprzedniego istnienia.

Podczas pobytu mego w Oksfordzie – jakoś na rok przed promocją – powiedziałem pewnego ranka do jednego z przyjaciół moich, chodząc z nim po ciasnych, pełnych gwaru ptaków uliczkach koło »Magdalen College«, że pożądam owoców ze wszystkich drzew w ogrodzie świata; że z sercem, tą namiętnością kipiącem, pospieszę w świat. Tak się stało, tak w świat poszedłem, tak żyłem. To zaś tylko błędem moim było, żem spieszył jedynie do tych drzew, które rosły w części ogrodu, wrzekomo w złotych blaskach słońca skąpanej, unikałem zaś miejsc, gdzie cień i mrok posępny panował. Zawód, wstyd, bieda, troska,

rozpacz, cierpienie, a nawet łzy, nawet te słowa, wybiegające na bolesne wargi, żal, co cierniem drogę naszą ścięło, sumienie, co potępia, poniżenie siebie, które karze, niedola, co popiołem własną głowę posypuje, udrczenie duszy, co w zgrzebne płótno się odziewa i żółć do napoju swego miesza: – jakimże napełniały mnie lękiem, jak trwożnie starałem się ich uniknąć. I właśnie dlatego, że postanowiłem sobie, by nigdy o nich nie wiedzieć, musiałem kolejno poznawać je i pożywać i przez długi czas innego nie zakosztować jadła.

Ale niemasz i nie było we mnie żalu, że radością tylko żyłem. Wychyliłem czarę jej do dna, bowiem, ze wszystkim, co się ma uczynić, tak właśnie uczynić należy. I niemasz uciechy, którejbym nie zakosztował. Perłę mej duszy w puhar z winem wrzuciłem. Kwietną ściżyną szedłem przy dźwiękach fletów i pieśni. Syciłem się miodną słodyczą. Przecież byłoby błędem dalej takie życie prowadzić, stałoby się ono bowiem jednostronnem. Musiałem iść dalej... dalej. Boć i ta druga część ogrodu kryła dla mnie tajemnice.

Nie potrzebuję chyba mówić o tem, że wszystko to w mej poetyckiej twórczości pierwszej już zaczęło odziewać się w kształty i cienie rzucać od siebie. Łatwo odnaleźć takie rysy w »Szczęśliwym księciu«, a i w baśni »Młody król«, szczególnie tam, gdzie biskup powiada do klęczącego młodzieńca: »Zali ten, który niedolę stworzył, nie jest mędrszym od ciebie?« Kiedym zdanie to pisał, wydawało mi się ono zwykłym frazesem i niczem więcej. Wyraźniejszym jeszcze staje się owo tajemnicze tchnienie w ostrzegającym głosie, co niby nieć purpurowa przewija się przez złotolitą tkaninę »Dorian Gray«, mieni się tysiściami barwy w rozprawie »Krytyk, jako artysta«, występuje zupełnie czytelnymi zgłoskami w »Duszy człowieka«. To ów wciąż powtarzający się refren w »Salome«, który utwór ten podobnym do muzyki czyni i stroi go w formy ballady. A wreszcie stało ono się duszą i ciałem w owej poezji prozą o człowieku, który ze spiżowego obrazu »Radości, trwającej jedną chwilę«, uczynić ma obraz »Wiecznotrwalej troski«. Nie mogło być inaczej. Bowiem w każdej chwili życia jest czło-

wiek i tem, czem się stanie, i tem, czem był. Sztuka jest symbolem, bo i człowiek jest symbolem.

A jeśli to w zupełności osiągnę, tedy osiągnę ostateczne i najwyższe urzeczywistnienie życia artysty. Bowiem życie artysty jest po prostu rozwojem samego siebie. Pokora u artysty jest tem właśnie, że przyjmuje on bezwzględnie wszystkie doświadczenia, miłość zaś u artysty jest wprost poczuciem piękna, które światu ciało i duszę swoją objawia. W powieści »Marjusz Epikurejczyk« stara się Pa-ter, by życie artysty zharmonizować z życiem religijnem w całym głębokim, pięknym i gorzkim znaczeniu tego słowa. Ale Marjusz jest tylko widzem — widzem idealnym, w każdym razie takim, któremu dano: »na widowisko życia przez własne uczucia poglądać«, co właśnie Wordsworth prawdziwem znaczeniem poety nazywa, aliiści jest on przecież tylko widzem, który zbyt wiele zwraca uwagi na piękno ław w świątyni, by pamiętać o tem, że na świątynię cierpienia pogląda. Ja zaś widzę o wiele serdeczniejszy, o wiele bezpośredniejszy związek między pra-

wdziwem życiem Chrystusa i prawdziwym życiem artysty.

Radością wielką napelnia mię myśl, że na długo jeszcze przed chwilą ową, gdy cierpienie zawładnęło życiem mojem i wplotło mię w koło swoje, napisałem w »Duszy człowieka«: kto chce wieść życie, życiu Chrystusa podobne, ten musi stać się Nim samym. Jako przykłady zaś przytoczyłem nie tylko pasterza na polu i więźnia w celi, ale i malarza, któremu świat jest korowodem wiadiadeł, i poetę, któremu świat jest pieśnią.

Ongiś, siedząc z André Gide'em w jakimś café paryskim, powiedziałem do niego, że metafizyka ma dla mnie bardzo mało rzeczywistego interesu, a moralność żadnego; wszystko zaś, co Plato i Chrystus mówili, dałoby się przenieść do dziedziny sztuki i tu znalazłoby doskonałe spełnienie. W takim uogólnieniu było to zarówno nowem i głębokiem. Bowiem nietylko ów ścisły związek osobowości i doskonałości, który widzimy w Chrystusie, nie sam ów związek stanowi rzeczywistą różnicę między sztuką klasyczną i romantyczną i czyni z Chrystusa praw-

dziwego zwiastuna prądu romantycznego w życiu, ale podstawa jego istoty była tą samą, na której się rozwija istota artysty: była nią potężna płomienista fantazja. Dana mu była świadomość udziału w całej dziedzinie stosunków ludzkich — owej fantazji, która jest jedyną tajemnicą twórczości w dziedzinie sztuki. Pojmował on cierpienie trędowatych, mroki, otaczające ślepców, gorzką niedolę tych, którzy uciechą jedynie żyli, i dziwne ubóstwo bogaczy. Napisał ktoś do mnie w dniach mego nieszczęścia: »Jeżeli nie stoi Pan na swym piedestale, nie jest Pan zajmującym«. Jakże dalekim był autor listu od tego, co Matthew Arnold nazywa »tajemnicą Jezusa«! Ci obaj mogliby go nauczyć, że cokolwiek spotyka innego człowieka, i mnie spotyka. Jeśli chcecie posiadać napis, którybyście we dnie i w nocy, w doli i niedoli odczytywać mogli, tedy wyrzycie na ścianach domu waszego — by słońce je złośliło, a księżyc wysrebrzał — słowa: »Cokolwiek spotyka bliźniego, spotyka mnie«.

Zaprawdę, miejsce Chrystusa między poetami. Całe jego pojmowanie ludzkości z fan-

tazji było zrodzone i przez nią tylko zrozumianem być może. Czem dla panteisty był bóg, tem był dla niego człowiek. On pierwszy spojrział na przeróżne rasy, jako na wielką jedność.

Przed nim istnieli bogowie i ludzie; w nim zaś uczucie tajemniczej sympatji mówiło, że i bóg i człowiek stali się w nim ciałem; dlatego też nazywa się on już to synem bożym, już to synem człowieczym. Żadna z postaci historii nie obudza w nas dla cudu tego nastroju, ku któremu zwraca się romantyka. I zawsze jeszcze jest dla mnie wprost coś z niepodobieństwa w tej myśli, że oto młody wieśniak galilejski wyobraża sobie, jakoby zdołał na barkach swoich dźwigać brzemię całego świata: wszystko, cokolwiek uczynionem i wycierpianem zostało, i wszystko, co ma być uczynionem i wycierpianem. Grzechy Nerona, Cezara Borgja, Aleksandra VI i tego, który był cesarzem Rzymu i kapłanem słońca; cierpienia tych, których imię legjon, a którzy pośród mogił mieszkają, cierpienia ludów uciśnionych, dzieci po fabrykach, złodziei, skazanych, wydziedziczonych,

nych, i tych, którzy zaniemieli w niewoli, a Bóg tylko jeden milczenie ich słyszy. I nie tylko wyobraża on to sobie, ale rzeczywiście w czyn wprowadza, tak, że oto dziś jeszcze nawet ci, co się do niego zbliżą, choćby nie pochylali czoła przed jego ołtarzem ani uginali kolan przed jego kapłanami, doznają przecież uczucia, że odjęta im jest brzydota ich występków, a zaś objawione całe piękno ich cierpienia.

— Powiedziałem: miejsce jego między poetami. I tak jest. Shelley i Sofokles są mu bracią. A całe jego życie jest najcudniejszym z poematów. Jeśli szukać będziemy »trwogi i miłosierdzia«, tedy w całej dziedzinie tragedji greckiej nie znajdziemy nic, coby się z nimi zmierzyć mogło. Niepokalana czystość protagonisty wznosi gmach cały ku takim wzyynom sztuki romantycznej, że cierpienia Pełopidów i domu tebańskiego już dla samej ich ohydy wykluczone zeń być muszą; zaś zupełnie błędnem staje się mniemanie Arystotelesesa — w rozprawie o dramacie — że nieznośnym jest widok cierpiącego niewinnie. Ani u Ajschylosa, ani u Danta, tych su-

rowych mistrzów czułości, ani u Szekspira, najbardziej ludzkiego ze wszystkich wielkich artystów, ani w przeróżnych mitach i legendach celtyckich, gdzie urok świata poprzez zasłonę łez przebłyskuje, a życie ludzkie nie więcej waży od życia kwiatu, — nigdzie nie znajdziesz tam nic, co by zdołało tą prostotą cierpienia, która obok wzniosłości tragicznego działania staje i w nią przechodzi, co by tą prostotą cierpienia zdołało zrównać się z ostatnim aktem historii cierpień Jezusowych, albo przynajmniej doń przybliżyć. Oto pełna prostoty wierzerza z uczniami, z których jeden już był go sprzedał dla zysku; oto śmiertelna trwoga duszy w cichym, wysrebrzonym miesięczną poświatą ogrodzie — i staje przed nim przyjaciel fałszywy, by go zdradzić pocałunkiem; a druh, który weń wierzył jeszcze, ten, na którym on, jako na opoce, chciał dla ludzkości schronienie budować — ten go się zaprze, gdy kur pianiem świtający dzień powita. Oto opuszczenie zupełne i samotność, uległość i poddanie się wszystkiemu; a jednocześnie owe sceny, gdy ortodoksalny arcykapłan szaty swe z gniewu rozdziera, a czło-

nek sądu obywatelskiego wody sobie rozkazuje przynieść w tej próżnej nadziei, że zdoła zmyć z siebie plamę przelania krwi niewinnej, która go na zawsze spurpurowioną postacią historii uczyni. Oto koronowanie koroną cierniową — jedno z najcudowniejszych wydarzeń, jakie w księgach wszechczasów napotkać można — ukrzyżowanie niewinnego w oczach jego matczy i uczniów, których miłował — a oto żołdacy kości rzucają o jego szaty — oto śmierć straszna, przez którą daje światu najwiczystszy z symbolów, — oto wreszcie złożenie ciała w grobowcu bogatego człeka. Oto zwłoki jego namaszczają drogocennymi olejkami i wonnościami, owijają je w najcieńsze płótna egipskie, jakoby synem królewskim był ten umarły. Jeśli ze wzgórza sztuki ogarniemy okiem cały ów obraz, wdzięczność wielką uczuć musimy za to, że kościół odtwarza nam w uroczystym nabożeństwie swoim bezkrwawo całą tę tragedję. Podnosi mię na duchu i cześć we mnie budzi to mistyczne oddanie dziejów męki Pana przez dialogi, ubiór i gesty, ta myśl, że szczątki greckiego chóru, który zaginał dla sztuki, odnajdujemy

w ministrancie, odpowiadającym kapłanowi odprawiającemu mszę.

Tak bardzo przecież piękno i cierpienie i w głębszem swem znaczeniu i w zewnętrznej postaci zespolić się mogą, — że życie Chrystusa w całości swojej staje się idyllą, chociaż kończy się tem, że zapada zasłona w świątyni, ciemności pokrywają oblicze ziemi, a głaz przed drzwiami grobowca zatoczony zostaje. Wyobraźni jawi On się zawsze jako młodzieńczy oblubieniec wśród grona uczniów swoich, bo i tak przecież opisuje siebie, — jako pasterz, który owce swoje wiezie dołina, szukając łąk zielonych lub kryształowych strumieni, — jako pieśniarz, który gęźbą chciałby wnieść mury miasta bożego, — jako miłujący, dla którego miłości świat jest za mały. Cuda Jego mają dla mnie ten sam urok i naturalność, co zbliżanie się wiosny. Ani też jest mi trudno uwierzyć, że wiał od Niego taki czar, iż sama Jego obecność niesła ukojenie umęczonym duszom, a ci, którzy szaty lub ręk Jego dotknęli, zapominali o swych boleściach; że gdy wielkim gościńcem życia kroczył, otwierały się nagle oczy tych, przed

którymi zakrytą była dotąd tajemnica życia, a ci, których uszy dostępne były jedynie głosom radości, nagle po raz pierwszy głos miłości słyszeli i zdało im się brzmienie jego »tak słodkiem, jak lira Apollina«. Że za zbliżeniem Jego pierzchały złe namiętności, że ludzie, których tępe, wszelkich marzeń pozbawione życie, raczej śmierć przypominało, jakoby z grobu powstałi na Jego wezwanie; że gdy nauczał na wzgórzu, tłumy zapomniały o głodzie, pragnieniu i troskach tego świata; że przyjacielom Jego, gdy słuchając Go, przy uczcie siedzieli, wyszukanem zdało się proste jadło, woda winem wybornem była, a woń nardu wypełniła dom cały.

Renan powiada w swoim »Życiu Chrystusa«, tej przepięknej piątej ewangelji, pod którąby imię świętego Tomasza podpisać można: — wielkiem dziełem Chrystusa było właśnie to, że miłość którą za życia posiadał, i po śmierci utrzymać potrafił. I zaprawdę, jeśli miejsce Jego między poetami, kroczy On na czele tych, którzy miłują. Poznał On, że miłość jest ową tajemnicą świata, której wy-

glądały oczy mędrców, że miłość jedynie do-
prowadzić może do serca trędowatego i do
stóp bożych. Ale przede wszystkim: Chry-
stus jest najwyższym indywidualistą. Pokora
zaś jest – jeśli wszelkie doświadczenia przyj-
mować tak, jak to czynią artyści – jedyną
formą objawienia. Duszy człowieka poszu-
kuje wiecznie Chrystus. Nazywa On ją »kró-
lestwem bożem« i znajduje ją u każdego.
Przyrównywa ją do rzeczy małej wagi: do
ziarna maleńkiego, do garści liści, do perły.
Wszystko to zaś dlatego, że wydoskonalić
duszę można wtedy dopiero, gdy strząśnie
z siebie wszelkie obce namiętności, wszelką
nabytą kulturę, wszelką własność zewnę-
trzną – nie bacząc ani na złe, ani na dobre
strony.

Z całą zaciętością mej woli, a bardziej
jeszcze z tym duchem przeciwieństwa, wła-
ściwym mej istocie, buntowałem się przeciw
wszystkiemu, aż nie zostało mi na świecie
nic prócz Cyryla. Postradałem oto imię moje,
moje stanowisko, szczęście me, wolność moją,
mój majątek. Skazańcem byłem i nędzarzem.
Pozostało mi przecież jeszcze coś, co mi umi-

łowanym i własnym było: synowie moi. Aliści
nagle odebrało mi ich prawo. Zmiażdżył mię
cios ten, zem już ani czuć, ani myśleć nie
umiał. Na kolana upadłem, pochyliłem głowę
i rzekłem: »Ciało dziecięcia jest, jako ciało
Pańskie – nie jestem ich godzien«. I zdaje mi
się, że uratowała mię ta chwila. Poznałem bo-
wiem wtedy, że niemasz dla mnie innej drogi,
jeno dźwignąć na barki moje całe brzemię.
I od tej pory – a zabrzmiał to w uszach wa-
szych, jak nieprawdopodobieństwo – byłem
już szczęśliwszy.

Była to bowiem ostatnia faza mej duszy.
Stałem się ja dla niej pod niejednym wzglę-
dem życiorodną siłą, ale też czekała ona na
mnie niby druh dobry. Gdy człowiek zetknąć
się ma z duszą własną, czyni go ona pro-
staczkim, dziecięciu podobnym, takim właśnie,
jakim według słów Chrystusa być należy.
I doprawdy, tragiczna to rzecz, że niewielu
ludzi zdoła przed śmiercią »osiąść własną
duszę«. Emerson powiada: »Nic nie jest
u człowieka tak rzadkiem, jak akt własnej
woli«. I zupełnie to słuszne. Bowiem ludzie
są przeważnie innymi ludźmi. Myśli ich –

to mniemania innych, życie ich — to mimikry, a namiętności — to cytaty. Chrystus był nie tylko największym, ale też i pierwszym indywidualistą w historii. Próbowano już ucyfrować z Niego zwykłego filantropa na obraz i podobieństwo tych zabójczych filantropów dziewiętnastego wieku, albo też, jako altruistę, umieścić Go obok nieoświeconych i marzycieli uczuciowych. A przecież nie należy on ani do jednych, ani do drugich. Zapewne miał on wiele miłosierdzia dla biedaków, dla więźniów, dla nędznych i poniżonych, ale miał go więcej jeszcze dla bogatych, dla zapamiętałych hedonistów, dla tych, co wolność swą marnują, stając się niewolnikami, dla tych, co miękie szaty noszą i królewskie zamieszują pałace. Bogactwo i opływające w dostatki życie wydawały mu się większą tragedją, niż bieda i zgryzota. A jeśli o altruizm jego chodzi — któż to lepiej od niego wiedział, że przeznaczenie, a nie wolna wola rozstrzyga o postanowieniach naszych, że nie można zrywać gron winnych z cierniowych płotów, ani słodkich fig z ostów? Życie dla innych brać jako określone, wy-

rażnie uznane powołanie — tego nie było w jego nauce. Ani też nie było to podstawą jego wiary. Jeżeli mówił: »Odpuszczajcie nieprzyjaciołom waszym«, nie znaczy to: z miłości dla nieprzyjaciół waszych, ale ze względu dla was samych i dlatego, że miłość piękniejsza jest od nienawiści. Jeżeli żąda od bogatego młodzieńca: »Sprzedaj cokolwiek posiadasz i rozdaj między ubogich«, tedy nie myśli o położeniu ubogich, ale o duszy młodzieńca, o tej duszy pełnej uroku, którą bogactwo na nędzę skazuje. W swoim pojmowaniu życia jednoczy on się najzupełniej z artystą, który wie dobrze, że niezłomne prawo doskonalenia siebie każe pocie śpiewać, rzeźbiarzowi myśl swą w bronz zaklinać, a marlarzowi czynić ze świata zwierciadło własnych nastrojów; że dźbiać to się musi tak samo, jak muszą wiosną kwitnąć ciernie, zboża dojrzewać pod jesień, a księżyc toczyć się po wyznaczonej drodze i raz pełną tarczą, raz sierpem się stawać.

Jeśli więc Chrystus nie rzekł ludziom: »Żyćcie dla innych«, tedy dowiódł przecież, że niema różnicy między życiem innych a na-

szem własnem życiem. I przez to właśnie dał człowiekowi olbrzymią, tytaniczną osobowość. Odkąd on się ukazał, historia każdego poszczególnego indywiduum staje się historją świata, a przynajmniej stać się nią może. W każdym razie, kultura podniosła znaczenie osobowości człowieka. Sztuka rozbudziła w nas ducha mirjadów. Kto posiada naturę artysty, ten pójdzie na wygnanie z Dantem i pozna, że sól jest chlebem wielu, że strome są ich drogi; ten zdobyć potrafi spokój i wesołość Goethego, a jednocześnie rozumieć będzie owo wołanie Baudelaire'a do Boga: »O Seigneur, donnez moi la force et le courage de contempler mon corps et mon coeur sans dégoût«, ten w sonetach Szekspira — może na szkodę swoją — odnajdzie tajemnicę swej miłości i własnością ją swoją uczyni; ten na życie społeczne innem będzie poglądać okiem, słuchał bowiem nokturnów Szopena, albo oddawał się sztuce greckiej, albo też czytał opowieść o namiętnej miłości umarłego męża ku umarłej niewieście, której włosy były jako przędza złota, a usta jak owoc granatu.

Aliści to spółodczuwanie temperamentu artystycznego musi z konieczności zwracać się ku temu, co już oddanem, wyrażonem zostało. W słowach, czy barwach, w dźwiękach czy w marmurze, z poza malowanych masek Ajschylesowego dramatu, czy też z wydrążonych i spojonych ze sobą trzciny sycylijskiego pastucha — objawiać się musi człowiek i wszelka jego miłość. Odtworzenie jest bowiem dla artysty jedyną formą, w której pojąć może życie. Martwym jest dla niego wszystko, co niemem jest. Inaczej rzecz się ma z Chrystusem. Mocą cudownej potężnej fantazji, która w nas święty lęk budzi, zdobył On cały świat Niewysłowionego, cały świat bezgłosego Bólu, by z nich królestwo swoje uczynić, a samemu stać się ich wiecznym nie milknącym głosem. Jako już powiedziałem, braćmi swoimi uczynił tych, którym niedola pieczęć milczenia położyła na ustach, »których milczenie jeno Bóg słyszy«. Pragnął On stać się okiem ślepego, uchem głuche, krzykiem o pomoc wołającym, na ustach tych, których język był związany. Pragnął On dla tych kroców, które mówić nie umiały, stać się

trąbą grzmiącą, by jej głosem do nieba wołać mogły. Dzięki artystycznej swej naturze rozumiał, że cierpienie i troska jedynymi są formami, w które swoje pojęcie o pięknie wcielić może, oraz że pozbawioną wartości jest wszelka idea, o ile nie stanie się obrazem, o ile nie stanie się ciałem. Uczynił tedy z siebie obraz Cierpiącego, a jako taki opowiadał i wzmógł sztukę tak, jak nigdy żadnemu z bogów greckich danem nie było. Bowiem greccy bogowie, mimo bieli i różowości ich przepięknych giętkich członków, nie byli w rzeczywistości tem, czem być się zdawali. Wyniosłe czoło Apollina było jako tarcza słoneczna, gdy, rozpraszając mroki, ukazuje się z za wzgórza, a stopy jego podobne były skrzydłom jutrzeńki; on zaś sam przecież okrutnym był dla Marsjasza, a Niobe dzieci pozbawił. W stalowych źrenicach Athene nie widać miłosierdzia dla Arachne. A pyszna wyniosłość i pawie Hery — to właściwie wszystko, co w niej było znakomitego. Zaś sam ojciec bogów zbytnio umiłowiał córę śmiertelników.

Dwie, pełne głębokiego znaczenia postacie

mitologii greckiej, to w religji Demeter, bóstwo ziemskie, nie olimpijskie, a w sztuce Djonizos, syn ziemianki, dla której chwila jego narodzin była zarazem chwilą śmierci. Aliści życie samo wydało ze swej najprostszej i pełnej uroku dziedziny postać bardziej cudowną i wspaniałą, niż matka Prozerpiny lub syn Semeli. Z warsztatu cieśli w Nazarecie wyszła istota, przerastająca wszystko, co kiedykolwiek stworzyły mity i podania; której dziwnem przeznaczeniem było odsłonić światu tajemnicze znaczenie wina, ukazać całą prawdziwą krasę lilji polnych, tak, jak tego nigdy nikt uczynić nie zdołał na Kithajronie, ani w Enna. Słowa Izajasza: »Był on najbardziej pogardzony między pogardzonymi i bez żadnej wartości, i schorzały, i pełen bólu. I pogardzony był tak, że oblicze przed nim ukrywano«, dźwięczały mu jako zapowiedź jego samego, a proroctwo spełniło się na nim.

Nie powinniśmy unikać takiego zdania. Wszelkie dzieło sztuki jest przemianą idei w obraz. Wszelka istota ludzka powinna być urzeczywistnieniem ideału, czy to w oczach Boga, czy w oczach ludzi. Chrystus znalazł

i wydoskonalili typ ten, a marzenie wirgiljuszowego poety w Jeruzalem czy Babilonie spełniło się w ciągu stuleci dzięki temu, którego przyjscia oczekiwał świat. »Brzydszą była postać Jego, niż postać innych ludzi, a wygląd, jako wygląd dzieci człowieczych«: to właśnie zaliczył Izajasz do znamion nowego ideału.

A skoro sztuka pojęła, jaką myśl kryły te słowa, rozwinęła się niby kielich cudownego kwiatu w obecności tego, — w którym, jak nigdy dotąd jeszcze — ujawniła się prawda w sztuce. Bowiem czyż nie jest prawdą w sztuce, jak to już powiedziałem, gdy dusza ciałem się staje, gdy ciało z duchem się łączy, gdy objawia się forma?

Najsmutniejszym zaś jest dla mnie w historii fakt, że renesans chrześcijański, który wydał katedrę w Chartres, cykl legend o królu Arturze, życie św. Franciszka z Asyżu, sztukę Giotta i Boską Komedję Danta, nie mógł iść drogą własnego rozwoju. Ze renesans ten powstrzymało i skrzywdziło smutne odrodzenie klasyczne, które nam dało Petrarke, freski Rafaela, architekturę Palladia, sztywne

formy tragedji francuskiej, kościół św. Pawła, poezję Pope'a i wszystko, co rodzi się z zewnątrz, z martwych prawideł, miast dobyć się z wewnątrz, z życiotwórczego ducha. Aliści wszędzie, gdzie tylko spotykamy się z prądem romantycznym w sztuce, ujrzymy zawsze w tej lub owej formie czy postaci Chrystusa, czy duszę Jego. Jest On w »Romeo i Julji«, w »Baśni zimowej«, w poezji prowansalskiej, w »Starych marynarzach« Coleridge'a, i w »Belle dame sans merci«, i w Chatterton'a »Balladzie o miłosierdziu«. Jemu to zawdzięczamy najróżnorodniejszych ludzi, najróżnorodniejsze rzeczy. »Les Misérables« Wiktora Hugo, »Fleurs du Mal« Baudelaire'a, głęboka nuta litości w powieściach rosyjskich, kolorowe szkła i obicia, i prace z epoki Quattrocenta Burne-Jones'a i Morris'a. Verlaine i jego poezja — należą doń tak samo, jak dzwonnica Giotta, jak Lancelot i Ginewra, jak Tanhäuser, jak pełne męki, romantyczne marmurowe cuda Michała Anioła i styl ostrołukowy. A także miłość do dzieci i kwiatów. Bo dla nich mało zostawiono miejsca w sztuce klasycznej, zaledwie tyle, by rosnąć

i bawić się mogły. A przecież począwszy od dwunastego stulecia aż do naszej doby, ukazywały się one zawsze, w różnych czasach, pod różnymi postaciami, kapryśne i uparte, jak zwykle dzieci i kwiaty. Wiosna robiła zwykle wrażenie, jakby wszystkie kwiaty pochowały się, ukazywały się zaś w świetle słonecznym jedynie niby ze strachu przed tem, że znuży dorosłych nieustanne oczekiwanie ich i że zupełnie szukać ich przestaną. Życie zaś dziecięca było niby dzień kwietniowy, co to raz deszcz, raz słońce narcyzom zsyła.

Ta bujność własnej istoty Chrystusa uczyniła Go tętmem i ośrodkiem romantyki. Osobliwsze przerośnięcie i figury w dramacie poetycznym i balladzie wymyśla fantazja innych, ale Jezus z Nazaretu stworzył je wyłącznie z własnej wyobraźni. Okrzyk trwogi Izajasza nie miał z ukazaniem się Jego większego związku, niż pieśń słowicza ze wschodem księżyca — tak, ani większego, ani też może i mniejszego związku. Był on bowiem zarazem i potwierdzeniem i zaprzeczeniem słów proroka. Za wszelkiem oczekiwaniem, które

spełniał, szło takie, które niweczył. »We wszelkiem pięknie«, powiada Bacon, »istnieje cudowna symetria«, o tych zaś, którzy narodzili się z ducha, którzy, jak on, są siłami dynamicznymi, powiada Chrystus, że są podobni wichrowi, co »wieje, kędy zechce, ale nie wiesz, skąd przylata i dokąd dąży«. Dla tego też tak wielki urok wywiera on na artystów. Właściwe mu są wszystkie, tysiąciami barwy drgające żywioły życia: zagadka, nowość, patos, natchnienie, zachwyt, miłość. Do wiary w cud się zwraca i wytwarza ów nastrój, w którym wyłącznie i jedynie zrozumieć go można. I z radością myślę o tem, że jeśli on jest wszechogarniającą fantazją, tedy i świat cały z tegoż się składa żywiołu.

Powiedziałem w »Dorjan Gray«, że wielkie grzechy świata spełniają się w mózgu. Aliści w mózgu wszystko się spełnia. Nie wiemy o tem, że ani widzimy oczami, ani słyszymy uszami. Oko i ucho są jedynie przewodnikami dla wrażeń zmysłowych — czasem celowymi, czasem nie. W mózgu to mak czerwone nosi barwy, pachnie jabłko, śpiewa skowronek.

Od jakiegoś czasu zgłębiam z gorącym zapalem te cztery poematy prozą, które mówią o Chrystusie. Koło Bożego Narodzenia udało mi się zdobyć Nowy Testament po grecku. Co rano, gdym już uprzątnął celę i oczyścił cynowe naczynia, odczytywałem z ewangelji kilkanaście wierszy, których wyborem przypadek rządził. Wspaniały to sposób rozpoczynania dnia. Powinienby tak czynić każdy, choćby nawet wiódł życie najbardziej burzliwe i bezładne. Tak się nad nimi znęcano, że naiwna prostota, świeżość i romantyczny urok ewangelji wiele na tem ucierpiały. Słyszymy je nazbyt często, nazbyt źle są odczytywane, a wszelkie powtarzania są wprost zabójczemi dla ducha. Jeśli przecież powrócić do greckiego tekstu, nie można się oprzeć wrażeniu, że z ciasnej, dusznej izby weszliśmy nagle do ogrodu, przepelnionego wonią kwitnących lilji. Dla mnie zaś podwójną radością jest myśl, że w tym greckim tekście mamy z pewnością dosłowne wyrażenia, *ipsissima verba* Chrystusa.

Mniej więcej sześć tygodni temu pozwolił doktor, by mi dawano biały chleb miast

grubego czarnego lub brunatnego – zwykłej strawy więziennej. Przysmak to dla każdego. Dla mnie zaś rzecz tak wielka, że po każdym jedzeniu zbieram starannie okruszyny, które zostały na mym cynowym talerzu lub spadły na gruby ręcznik, służący nam za przykrycie, chroniące od powalania stołu. A robię to nie z głodu – dostaję bowiem teraz jeść w zupełnie wystarczającej ilości – ale po prostu dla tego, by nie zostało zmarnowane nic z tego, co mi dają. Tak właśnie należałoby postępować z miłością. Chrystus, jak wszelkie istoty, wywierające dziwny urok, posiadał ten wielki dar, że nietylko sam piękne rzeczy mówił, ale i innych do mówienia ich zniewalał. Lubię niezmiernie tę opowieść Marka o niewieście greckiej, która, gdy Jezus chcąc jej wiary doświadczyć, rzekł do niej, jako nie może dać jej chleba dzieci Izraela – odpowiedziała: »Szczenięta pod stołem zbierają okruszyny po dzieciach«.

Większość ludzi żyje dla miłości i podziwu. Powinniśmy zaś żyć przez miłość i podziw. Jeśli nam okazują miłość, winniśmy poznać, że zupełnie nie jesteśmy jej warci. Nikt nie

zasługuje na to, żeby być kochanym. Fakt, że Bóg umiłował ludzi, dowodzi, iż w boskim rozrządzeniu idealnymi dobrami napisano jest, że wieczną miłością obdarzon ma być wiecznie jej niegodny. A jeśli już nazbyt gorzkim wyda się to zdanie, powiedzmy: zasługuje na miłość każdy prócz tego, co wierzy, że na nią zasługuje. Na klęczkach należałoby przyjmować sakrament Miłości; *Domine, non sum dignus* powinnyby brzmieć na ustach i w sercu tych, którzy go przyjmują.

Jeśli kiedykolwiek jeszcze coś napiszę, to jest: jeśli dzieło sztuki stworzę, chciałbym dwa tematy poruszyć i zgłębić. Jeden, to »Chrystus, jako zwiastun prądu romantycznego w życiu«; drugi: »Życie artysty i sztuka życia«. Pierwszy z nich jest oczywiście niesłychanie ponętym: widzę bowiem w Chrystusie nietylko istotne znamiona najwyższego romantycznego typu, ale też i przypadkowości, a nawet zmienność romantycznego temperamentu. On to pierwszy wezwał ludzi, by wiedli życie, życiu kwiatów podobne. On wykuł formę dla tego pojęcia.

Dzieci były Mu wzorem tego, do czego należało dążyć, czem należało stać się. Rodzicom ich ukazywał na nie, jako na przykład, takim też jest, według mnie, główny cel istnienia dzieci, o ile wogóle doskonałość miałyby mieć cel. Dante opisuje duszę ludzką, gdy z rąk stwórcy wychodzi »we łzach i uśmiechach, niby małe dziecię«, a Chrystus również przyznał, że dusza każdego powinna być »*quasi di fanciulla, che piangendo e ridendo pargoleggia*«. Czuł On, że życie jest zmianą, czynem, ruchem, że chcąc je wtłoczyć w jakąś stałą formę, to znaczy śmierć mu zadać. Zrozumiał On, że ludzie nie powinni brać zbyt poważnie spraw materialnych dnia powszedniego; że wielka to jest rzecz być niepraktycznym, że nie należy zaprzętać sobie głowy tem, co i jak będzie. Przecież nie troskają się ptaki, czemużby więc ludzie czynić to mieli? Dziwny urok kryje się w tych słowach: »Nie troskajcie się o dzień jutrzejszy! Zali nie więcej waży życie od jada? ciało od odzieży?«. Moznaby to ostatnie Grekowi przypisać, tak wyraźnie przemawia stąd uczucie i myśl grecka. Ależ Chrystus sam mógł

wyrzec jedno i drugie i w ten sposób ująć dla nas treść życia.

Cała Jego moralność opiera się na litości, a taką właśnie powinna być moralność. Gdyby nic więcej nie rzekł ponad te pamiętne słowa: »Wiele jej odpuszczonem będzie, bowiem wiele kochała«, już za to tylko wartoby było umrzeć.

Sprawiedliwość Jego jest zgoła poetyczną sprawiedliwością, tem właśnie, czem sprawiedliwość być powinna. Żebrak dostaje się do nieba dla tego, że był nieszczęśliwy. Nie mogę, doprawdy, znaleźć słusznego powodu. Ci, co o chłodnym wieczorze godzinę pracowali w winnicy, otrzymują jednaką zapłatę z tymi, co dzień cały trudzili się na słonecznym upale. I czemużby tak być nie miało? Z pewnością żaden z nich na zapłatę nie zasłużył. A może też należeli oni do ludzi zupełnie innego rodzaju.

Chrystus nie mógł znieść tych systemów tępych, mechanicznych, zabójczych dla życia, które traktują ludzi, jako rzeczy, a więc wszystkich jednakowo. Dla Niego prawa nie istniały, istniały jedynie wyjątki, jakoby żaden

człowiek ani rzecz nie spotykały bliźniaczych sobie w świecie. To co jest tonem zasadniczym w sztuce romantycznej, było Mu właściwą podstawą przyrodzonego życia. Nie widział bowiem innej. A gdy przywiedziono doń niewiastę, na zbrodni wiarołomstwa pochwyconą, i powiadano, jaki wyrok wedle prawa ją czeka, i pytano Go, co uczynić należy — On palcem znaki kreślił na ziemi, jakby nie słysząc ich wcale. Gdy zaś znów naglić Go zaczęli, podniósł na nich oczy i rzekł: »Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem«. I zaprawdę, warto było żyć dla takich słów.

Jak wszyscy poeci, miłował nieświadomych. Wiedział, że w duszy nieświadomego znajdzie się zawsze miejsce dla wielkiej idei. Natomiast nie znosił głupich, szczególnie tych, których ogłupiało wychowanie: ludzi z głową przepełnioną myślami, ale niezdolnych żadnej z nich zrozumieć. Typ, który szczególnie rozwinął się w dzisiejszej dobie, a który ongi wyjaśnił Chrystus, opowiadając o tym, co posiada klucz do przybytku wiadomości, atoli sam użyć go nie umie, a innym użycia jego

wzbrania dla tego, że klucz ten otwiera również bramy królestwa bożego.

Aliści przedewszystkiem wydał On wojnę filistrom. Ta walka bowiem przypada w udziale każdemu dziecięciu światłości. Filisterstwo było znamieniem doby i państwa, w których żył Chrystus. Żydzi jerozolimscy z czasów Chrystusa z tą ich ociężałą niedostępnością, błazeńską zacnością, nudną prawowiernością, czcią, oddawaną bożyszczom dnia, pograżeniem się zupełnem w najgrubszych, materialistycznych zagadnieniach życiowych, i tą śmieszoną zarozumiałością, — mogliby zaiste godnie stanąć obok dzisiejszych brytańskich filistrów. Chrystus szydził z »pobielanych grobów« zacności i wyrażenie to utrwalił po wieczne czasy. Powodzenie w świecie uważał On za coś niesłychanie godnego pogardy. Było Mu ono niczem. Bogactwo było podług Niego ciężarem dla człowieka. Ani chciał słyszeć o życiu, które się składa w ofierze jakiemuś filozoficznemu lub etycznemu systemowi. Dowodził, że formy i zwyczaje są dla człowieka, ale nie człowiek dla form i zwyczajów. Zasady sabbatyczyków nie

miały dlań żadnego znaczenia. Na zimną filantropję, na pysznięcie się wspaniałemi pozorami zakładów dobroczynności publicznej, na wstrętny formalizm, który tak zrósł się ze stanem średnim, spadał straszliwy bicz Jego bezlitośnego szyderstwa. To, co wogóle nazywamy ortodoksją, jest właściwie tylko wygodnem, bezdusznem powtarzaniem sakramentalnego amen na wszystko; dla nich zaś było to i w ich dłoniach stało się okropną, ubezwładniającą tyranją. Chrystus położył temu kres. Dowiódł On, że wyłącznie i jedynie o ducha chodzi. I było Mu to zadowolaniem wielkiem, gdy im wyłożył jasno, że wprawdzie ustawicznie czytają zakon i proroków, ale w rzeczywistości o znaczeniu ich najmniejszego nie mają pojęcia. W przeciwieństwie do nich, którzy dzień każdy obciążali dziesięciną szablonowych martwych przepisów, tak samo, jak nakładali dziesięcinę na koper i miętę, — kazał On, że oto najważniejszą rzeczą jest żyć chwilą. A którym odpuścił grzechy, były im odpuszczone gwoli onemu pięknu, co jeszcze ich oczekiwało w życiu. Gdy oczy Marji Magdaleny ujrzą

Chrystusa, rozbije ona kosztowne, alabastrowe naczynie, dar jednego z siedmiu miłośników — by wonnościami oblać zmęczone, kurzem okryte nogi Pana, i dla tej jednej chwili zasiądzie ona obok Ruth i Beatrycze w raju, pod splotami śnieżno-białych róż.

A wszystko, co mówi nam Chrystus cichym tonem przestrogi, jest, że każda chwila powinna być piękną, że dusza zawsze powinna być gotową na przyjęcie oblubieńca i zawsze czekać wezwania miłości.

Filisterstwo jest poprostu tym zakątkiem istoty ludzkiej, którego nie rozjaśnia promień fantazji. Chrystus uważa wszelkie wdzięczne wpływy życia za rodzaje światła: fantazja zaś jest »światłością światów«, ona to stworzyła świat, który nie może jej objąć. Dla tego też jest fantazja jedynie objawieniem miłości, a miłość i zdolność do miłości odróżniają jedno stworzenie od drugiego.

Ale najbardziej romantycznym, w znaczeniu: najbardziej rzeczywistym jest Chrystus wtedy, gdy ma do czynienia z grzesznikiem. Świętego miłował świat od dawna, jako najbliższy stopień, do doskonałości boskiej wio-

dący, Chrystusowi zaś jakby jakiś instykt boski miłować kazał zawsze grzesznika, jako najbliższy stopień do doskonałości ludzkiej wiodący. Nie miał on na celu tego przede wszystkim, by poprawiać ludzi, ani też przede wszystkim tego, by łagodzić cierpienia. Nie zależało mu wcale na tem, by z ciekawego złodzieja zrobić nudnego przyzwoitego człowieka. Niewieleby sobie robił z Towarzystwa pomocy dla wyszłych z więzienia i tym podobnych dążeń społecznych. Nawrócenie celnika, uczynienie zeń faryzeusza, nie wydałoby mu się pewnie czynem bohaterskim. Aliści w sposób jeszcze przez świat niezrozumiały sądził grzech i cierpienie jako coś, co samo w sobie pięknem jest i świętem i stopniem do doskonałości wiodącym.

Wydaje się to wprost niebezpiecznym. I takim też jest w istocie. Bowiem niebezpiecznymi są wszystkie wielkie idee. A przecież niedopuszczalnym jest zwątpienie, że taka właśnie była wiara Chrystusa. Grzesznik oczywiście musi żałować. Dla czego jednak? Dla tej prostej przyczyny, że inaczej nie byłby w stanie pojąć tego, co uczynił. Chwila żalu

jest zarazem chwilą uświęcenia. Więcej nawet: jest ona tym środkiem, który odmienia przeszłość. Grecy uważali to za niemożliwe. W gnomach ich i aforyzmach spotykamy często zdanie: »Sami nawet bogowie nie zdołają odmienić przeszłości«. Chrystus zaś dowiódł, że uczynić to może najpospolitszy grzesznik; że jest to jedyna rzecz, którą uczynić może. Gdyby Chrystusa zapytano, takby odpowiedział: zupełnie pewny jestem, że ów syn marnotrawny, co mienie swoje z dziewczkami utracił, a później wieprze pasał, głód cierpiał i łaknął... w chwili onej, gdy, na kolana upadłszy, łzami gorzkiemi się zalał, wszystko minione w piękne i święte chwile życia zamienił.

Sądzę, że przeważnie trudno będzie ludziom myśl tę zrozumieć. Może więzienia na to trzeba, by ją pojąć. A jeśli tak, tedy warto było przebywać w więzieniu.

Jest coś zupełnie wyjątkowego i osobliwego w postaci Chrystusa. Zapewne, jako przed brzaskiem jawią się zawodne drgania świetlne, jako w zimowy dzień nagle tak jasno zaświeci słońce, że ostrożny krokus

daje się uwieść i przed czasem marnuje złoto swych płatków, a nierozsądny ptak na ptaszkę swoją woła, by wieć gniazdo na bezlistnych gałęziach: tak też i przed Chrystusem istnieli chrześcijanie. I powinniśmy wdzięczni być za to. Po nim, niestety, zupełnie ich już nie było. Jeden jedyny wyjątek – to Franciszek z Assyżu. Aliści jego obdarzył Bóg duszą poety, on zaś sam, od lat najmłodszych, zawarł mistyczne śluby z oblubienicą, której miano było – ubóstwo. Z duszą poety i ciałem żebraka nie trudno mu było odnaleźć drogę do doskonałości. Rozumiał on Chrystusa i dzięki temu stał się doń podobnym. Nie chcemy aż z »Liber Conformitatum« dowiadywać się o tem, że życie świętego Franciszka było prawdziwą *Imitatio Christi* – poematem, wobec którego książka, co miano to nosi, jest najprozaicniejszą prozą. W samej rzeczy, pod tym względem urok, wywierany przez Chrystusa na tem właśnie polega, że jest on zupełnie podobny do dzieła sztuki. Bo właściwie nie uczy on nas niczego, stajemy się zaś czemś jedynie dla

tego, że z nim obcujemy. A każdemu przecież przeznaczonem jest przebywać z nim. Przynajmniej raz w życiu każdy z nas po-
dąża z Chrystusem do Emaus.

Co się zaś tyczy drugiego tematu — »Życie artysty i sztuka życia«, wydaje się to z pewnością dziwnem, że taki przedmiot wybieram. Ludzie pokazują palcami na dom karny w Reading i mówią: »Oto dokąd pro-
wadzi człowieka życie artysty«. Mogłoby ono do gorszych jeszcze miejsc zaprowadzić. Ludzie bardziej mechaniczni, biorący życie jako podstępną spekulację, zależną od wielce troskliwego obliczenia niezbędnych dróg i środ-
ków, wiedzą zawsze, dokąd iść mają i idą tam. Wchodzą na arenę z tym indywidual-
nym celem życia, by zostać sługami kościoła: niezależnie od stanowiska, które zajmą, uda im się to zupełnie. Ale też i nic więcej. Człowiek, który wszelkich sił dokłada, by stać się czemś, co w nim samym nie istnieje: członkiem parlamentu, znakomitym handlarzem warzywa, wybitnym adwokatem, sędzią czy wogóle czemś podobnie nudnym — widzi zawsze starania swoje uwieńczone powodze-

niem. I to jest jego karą. Kto pożąda maski, ten ją nosić musi.

Inaczej się przecież ma z czynnymi siłami życia i tymi, którzy siły te uosabiają. Ludzie, oddani jedynie rozwojowi własnego *ja*, nie wiedzą nigdy, dokąd ich droga prowadzi. Nie mogą tego wiedzieć. Oczywiście, w pewnym tego słowa znaczeniu, należy poznać samego siebie, jak tego wymagała wyrocznia grecka; pierwszy to krok do wszelkiej wiedzy. Aleści ostatniem słowem mądrości jest poznanie, że niezgłębioną jest dusza ludzka. My sami jesteśmy tajemnicą ostateczną. Choćby na szali wag położyć słońce, wymierzyć drogi księżycy, po kolei odszukać na karcie wszystkie gwiazdy siedmiu nieb, zawsze jeszcze pozostanie to jedno: my sami. Któż zdoła obli-
czyć drogi własnej duszy? Gdy syn opuszczał dom, by szukać oślic swego ojca, nie wie-
dział, że czeka nań mąż boży, chcąc go na króla namaścić, ani że dusza jego dawno już duszą królewską była. Żywię nadzieję, że starczy mi jeszcze życia, na stworzenie dzieł takich, bym mógł u schyłku dni moich

powiedzieć: »Oto widzicie teraz, dokąd prowadzi człowieka życie artysty!«

Do żywotów najbardziej skończonych, z którymi zetknąłem się w granicach mego doświadczenia, należy podług mnie życie Verlaine'a, który spędził długie lata w więzieniu: Verlaine — to od czasów Danta jedyny chrześcijański poeta. W ciągu ostatnich siedmiu czy ośmiu miesięcy, mimo wielkich przykrości, które nieustannym szeregiem szły ku mnie od zewnętrznego świata, zdołałem przecież utrzymać ścisłą łączność z nowym duchem, który w tem więzieniu ożywia ludzi i rzeczy, a który mi więcej uczynił dobrego, niżbym to słowami wyrazić potrafił. Jeśli w ciągu pierwszego roku mego więzienia, o ile pamięć cią sięgnąć mogę, to jeno czyniłem, żem w bezsilnej rozpaczyc ręce łamał i wołał: «Jaki koniec, jaki okropny koniec», teraz próbuję mówić, i nawet czasem, o ile samego siebie nie męczę, mówię naprawdę, zupełnie szczerze: »Jaki początek, jaki cudowny początek!« I bodajby tak było naprawdę. A jeśli tak się stanie, wiele będę miał do zawdzięczenia tej nowej osobie, która tu życie wszystkim

innem uczyniła. Rzeczy te same w sobie niewiele znaczą — niechże nam choć raz wolno będzie oddać hołd filozofji za coś, czego nas nauczyła — nie mam tu na myśli przepisów, określiły je bowiem żelazne prawidła, chodzi mi o ducha, który nimi rządzi. Zrozumieć to możecie, jeśli was zapewnię, że gdyby mnie uwolniono w ubiegłym maju, opuściłbym to miejsce pełen wstrętu, z tak wielką nienawiścią do wszystkich urzędników, że zdołałaby mi ona zabrać życie. Rok jeszcze znosić musiałem więzienie, ale oto dla wszystkich nas ludzkość zamieszkała w tych murach. Kiedy mi teraz uderzy godzina wyzwolenia, pamiętać będę o wielkiej życzliwości, którą mi tu okazywali prawie wszyscy, a w dzień mego wyjścia dziękować będę wielu i prosić ich, by mnie również zachowali w pamięci.

Urządzenia więzienne są opaczne. I oddałbym wszystko za to, bym mógł tu później jakieś zmiany wprowadzić. Postanowiłem też pokusić się o to. Niemasz bowiem nic tak opaczego na świecie, czego by nie zdołał — jeśli już nie pchnąć na właściwe tory, to przynajmniej uczynić możliwem do znie-

sienia bez nadmiernej goryczy — duch ludzkości, który jest duchem miłości, duchem Chrystusa, nie spotykanym po kościołach.

Wiem również, że tam za murami, oczekuje mię wiele rzeczy, które zachwyty budzą: począwszy od tych, które święty Franciszek z Assyżu nazywa »bratem mym wichrem« i »siostrą moją wodą« — a obie są rozkoszą — aż do wystawowych okien sklepów i słonecznych zachodów w wielkich miastach. Gdybym chciał uczynić spis wszystkiego, co jeszcze we mnie spoczywa, nie wiedziałbym, na czym mi zaprzestać należy: bowiem, za prawdę, Bóg i dla mnie świat stworzył, jak dla wszelkiego innego człowieka. Kto wie, czy nie wyjdę z tych murów w posiadaniu czegoś, czegom nie znał dotąd. Nie potrzebuję tu mówić, że reforma moralna jest dla mnie równie niesmaczną i równie bez znaczenia, jak reformy teologiczne.

Jeśli wszelkie snucie planów poprawy byłoby dowodem nienaukowej obłudzie, jest przecież przywilejem tych, którzy cierpieli, że zdołali się pogłębić. Sądzę, że tak właśnie stało się ze mną. Gdyby po uwolnieniu moim

któryś z przyjaciół moich sprawiał gody, a nie zaprosił na nie, byłoby mi to zupełnie obojętnem. Mogę bowiem tylko na sobie po przestać i być zupełnie szczęśliwym. I któżby nie czuł się doskonale szczęśliwym, posiadając wolność, kwiaty, strumienie, księżyc? A poza tem, nie przystoją mi już gody i uciechy. Zawiele urządziłem ich sam, bym mógł dziś jeszcze znajdować w nich jakiś urok. Minęła już dla mnie ta część mego życia — na szczęście moje, mógłbym dodać. Ale gdyby po uwolnieniu moim któryś z przyjaciół moich cierpiał, a nie chciał zezwolić, bym troski jego podzielił, odczułbym to bardzo boleśnie. Gdyby zamknął przede mną drzwi domu żałoby, stawałbym wciąż przed nimi i prosił o ich otwarcie, bym mógł wziąć udział w tem, do czego czułbym się upoważnionym. Gdyby mię odtrącił, jako tego, co niegodny i niezdolny jest, by z nim razem płakać, uważałbym to za najokropniejszą obelgę. Ale byłoby to przecież niemożliwem. Mam prawo dzielenia zgryzoty; kto umie widzieć cały urok świata, kto umie dzielić jego żalność, a potrafi zgłębić to coś dziwnie cudownego, co się

w nich obu zawiera, tego łączy bezpośredni związek z boskością; ten do tajemnicy bożej zbliżył się tak bardzo, jak tylko można to uczynić. Może do sztuki mojej — jak i do życia mego — przedrze się nuta, jeszcze głębsza, nuta większego jeszcze zespołu namiętności, potężniejszej bezpośredniości. Intensywność a nie ekstensywność jest prawdziwym celem dzisiejszej sztuki. Już nie z typem mamy do czynienia w sztuce, ale z wyjątkiem. Nie mogę cierpień moich ubrać w formę, w której one wystąpiły. Sztuka zaczyna się dopiero tam, gdzie się kończy naśladownictwo. Przecież w jakikolwiek sposób musi dostać się do mego dzieła to jedno: pełniejszy ton wspomnień albo też słowa o bogatszej melodji, bardziej niezwykłych kombinacjach barw, pełnych prostoty zarysach architektonicznych — a w każdym razie: wartości estetyczne.

Gdy Marjusz wyciągnięty został z powłoki członków swoich, »della vagina della membre sue« — by użyć jednego z najstraszliwszych, tacytowskich obrazów Danta — skończyła się jego pieśń, mówili Grecy. Apollo został zwycięzcą. Flet pastuszy musiał ulec lirze. Może

jednak Grecy byli w błędzie. Wołanie Marjusza słyszę tak często w sztuce współczesnej: gorzko brzmi u Baudelaire'a, słodkie i dzwiczne jest u Lamartine'a, pełne tajemniczości u Verlaine'a. Słyszę je w konających tonach muzyki Chopina: w tem zniechęceniu, niby obłokiem owiewającym, powtarzające się wciąż twarze kobiece u Burne-Jones'a. Nawet i Mathew Arnold, którego utwór »Collicocks« w takich świetnych, pełnych lirycznej piękności tonach, śpiewa »triumf słodkiej wyrazistej liry« i »świetne ostateczne zwycięstwo« — nawet i on nie mało ma tego w lekliwym podgłosiu swych wierszy, z których zwątpienie i męka rozbrzmiewa. A jeśli opłakiwać chce »Thyrsis« lub śpiewać o »stundencie-cyganie«, musi za flet pastuszy chwycić, by odtworzyć ten rodzaj. Wszystko więc jedno, czy frygijski faun zamilkł, czy też nie: ja tego nie potrafię uczynić.

Tworzenie jest dla mnie taką samą koniecznością, jak liście i kwiaty dla tych czarnych gałęzi drzew, które nad mury więzienne wyrosły i drżą nieustannie na wietrze. Przepaść rozwarła się teraz pomiędzy sztuką

moją a światem; ale nie pomiędzy sztuką moją a mną. Taką mam przynajmniej nadzieję. Każdemu z nas inny los wyznaczony: wolność, uciechy, radości, zadowolenie. Mnie przypadły w udziale: publiczny wstyd, długie uwięzienie, nędza, bankructwo, hańba; przecież nie jestem tego wart, przynajmniej, jeszcze nie jestem wart.

Przypominam sobie, że już mówiłem o tem, co mi się dawniej zdawało, że chciałyby przetrwać prawdziwą tragedję, gdyby zbliżyła się do mnie w purpurowym płaszczu i masce szlachetnego bólu, zaś okropnością dzisiejszej doby jest, że tragedja odziewa się szatą komedji, dzięki czemu potężna rzeczywistość staje się powszednią albo śmieszną, albo pozbawioną stylu. I słusznem jest, co się mówi o dzisiejszej dobie. Z pewnością sąd taki znajdował zawsze potwierdzenie w rzeczywistym życiu. Dowodzono, że wszelkie męczeństwa wydawały się widzom bardzo pospolitemi. Wiek dziewiętnasty nie jest żadnym wyjątkiem z tego prawidła. W tragedji mojej było wszystko szkaradnem, pospolitem, odpychającym, pozbawionem stylu. Już samo

ubranie nasze musi nas czynić śmiesznymi. Jesteśmy błaznami cierpienia. Jesteśmy clownami o pękniętem sercu. A szczególniejszem naszym przeznaczeniem jest oddziaływanie na muskuły śmiechu.

Trzynastego listopada 1895 r. przeniesiono mię tu z Londynu. Od drugiej do wpół do trzeciej po południu stać musiałem na środkowym peronie stacji Clapham ZUNETIVU, w więziennej odzieży z kajdanami na rękach, oddany na łup spojrzeniom ludzkim. Zabrano mię z oddziału chorych, nie uprzedzając o niczem. Z pomiędzy wszystkich tych wyrzutków ja byłem najśmieszniejszym. Na mój widok ludzie wybuchali śmiechem. Z przybyciem każdego nowego pociągu rosła liczba widzów. Bawili się bezgranicznie wesoło. Było tak oczywiście, nim zdołali się dowiedzieć, kim jestem. Skoro przecież dowiedzieli się, wzmogła się radość i śmiechy. Pół godziny przestałem tak na przejmującym listopadowym deszczu, otoczony rozbawionym do szału tłumem. I jeszcze po roku, od przeżycia tego, codziennie płakałem jednako długo i gorzko o tej samej porze. Nie jest to tak tragiczne, jak

wam się pewnie wyda. Są łzy dla tych, którzy w więzieniu siedzą, częścią zatrudnień codziennych. A dzień w więzieniu, w którym płacz nas nie nawiedził, jest dniem, co serce nasze twardem czyni, dniem, co sercu naszemu nie daje szczęścia. I oto powoli zacząłem więcej żałować ludzi, którzy się śmiali, niż samego siebie. Gdy mię widzieli, stałem nie na piedestale moim, ale pod pręgierzem. Ale pozbawione wszelkiej fantazji istoty dbają jedynie o ludzi na piedestale. Piedestał może być czemś bardzo nierzeczywistem; pręgierz jest straszliwą rzeczywistością, Należałoby lepiej uwydatnić ból. Powiedziałem już: za bólem kryje się zawsze ból. A jeszcze słuszniej byłoby rzec: za bólem kryje się zawsze dusza. Zaś szydzić z duszy w męce — jest czemś potwornem. Kto tak czyni, tego życie nie ma piękna. W tem osobliwie prostem gospodarstwie świata otrzymuje się zawsze to tylko, co się oddaje: czyż więc można tym, którzy na tyle nie posiadają fantazji, by przejrzeć nieosłoniętą zewnętrzną stronę rzeczy i wzbudzić w sobie spólcucie — czyż

można oddać im inne spólcucie prócz tego, które jest pogardą?

Opowiadam o przeniesieniu mię do tutejszego więzienia jedynie dla tego, by uczynić zrozumiałem, jak bardzo mi było trudno wyciągnąć z kary mojej coś innego prócz rozgoryczenia i rozpacz. Muszę przecież to uczynić i przychodzą tu na mnie od czasu do czasu chwile poddania się i uległości. W jednym pączku cała wiosna może się ukryć, a gniazdo skowronka w brózdzie polnej może osnuć cała rozkosz, która kiedyś niejedną różanostopą jutrzeńkę wyprzedzi. Więc może też i wszelkie piękno, które mi jeszcze zachowało życie, zawiera się w jednej chwili oddania, poniżenia, pokory. Jakkolwiek jest, mogę sam kroczyć dalej drogą własnego rozwoju i stawać się godnym wszystkiego, co mię spotkało dla tego właśnie, że wszystko przyjmuję. Tłum miał zwyczaj zarzucać mi, że jestem za nadto indywidualny. Powiniennem przecież stać się o wiele większą indywidualnością, niż kiedykolwiek byłem. Powiniennem wydobyć z siebie o wiele więcej, niż to kiedykolwiek zdołałem uczynić, a mniej

wymagać od świata. W gruncie rzeczy, zguba moja była wynikiem nie zbyt wielkiego, ale zbyt małego indywidualizmu. Jedyne hańbiący krok mego życia, krok nie do przebaczenia, po wsze czasy pogardy godny, na tem polegał, że się rozgrzeszył, by u społeczeństwa szukać obrony i pomocy. Z indywidualistycznego punktu widzenia byłoby to już bardzo złem, w ten właśnie sposób i tam opieki szukać; czyż kiedykolwiek można będzie znaleźć jakie uniewinnienie na moją korzyść?

Skoro tylko wprowadziłem w ruch siły społeczeństwa, zwróciło się ono oczywiście przeciw mnie i rzekło: »Cały czas żyłeś na przekór wszystkim moim prawom, a teraz u tych praw opieki szukasz? Danem ci będzie poznać prawa te w całej ich rozciągłości. Spadną na ciebie ich następstwa«. I oto stało się, że jestem w więzieniu. A w ciągu trzech moich procesów odczułem gorzko ironję i hańbę mego położenia.

Z pewnością żaden jeszcze człowiek nie upadł tak haniebnie i dzięki tak haniebnym sposobom, jak ja. Czytamy w jednym z ustępów »Dorjan Gray«: «Nie można być nigdy

dość ostrożnym w wyborze nieprzyjaciół«. Nie powstało mi nigdy w głowie, że przez parjasów sam parjasem się stanę. Dla tego też tak bardzo pogardzam sobą.

Filisterskość polega nie na tej niemożności pojmowania sztuki. Zachwycający ludzie, jak np. rybacy, pasterze, oracze, chłopci i im podobni, nie mają pojęcia o sztuce, a są przecież sołą ziemi. Prawdziwym filistrem jest ten, kto dopomaga ociężałym, uprzykrzonym, ślepym, mechanicznym siłom społecznym i popiera je, a nie zdoła poznać siły dynamicznej, gdy mu drogę zajdzie pod postacią jednego człowieka lub prądu. Oburzano się na mnie niezmiernie, że do stołu swego zapraszał szkodników życia i znajdował przyjemność w ich towarzystwie. Jeśli przecież spojrzymy na to z innej strony, z tego stanowiska, z którego zbliżyłem się do nich w życiu jako artysta, byli oni dla mnie wspaniale pobudzającymi środkami podniety. Była to jakby pohulanka z panterami. Niebezpieczeństwo było połową upojenia. Zdawało mi się, że jestem ów zaklinacz węzów, gdy wabi kobrę, by podniosła się z kolorowej chustki lub trzciniowego koszyka,

a ona na rozkaz jego rozkłada, rozwija w powietrzu swoje lśniące łuski, porusza się, migocze, niby woda w słońcu. Byli oni w moich oczach najbardziej lśniącymi ze wszystkich węzów złocistych, a jad ich był częścią ich doskonałości. I bynajmniej nie wstydzę się tego, że ich znałem. Byli niesłychanie zajmujący. Co zaś napęła mię wstydem, to owa obrzydliwa filisterska duszna atmosfera, do której mię wtrącono. Miejsce moje jako artysty, było u boku Arjela. Ja zaś dobijałem się o to, by walczyć z Kalibanem. Miast tworzyć dzieła, bijące bogactwem barw, pełne muzycznej harmonji, jak »Salome«, »Tragedja Florencka« i »La Sainte Courtisane«, widziałem się zmuszonym do pisania długich prawniczych listów, do udawania się pod opiekę tego, czego się zwykle strzegłem... Cudowni byli w tej ich podłej, wypowiedzianej życiu walce. Dumas ojciec, Cellini, Goya, Edgar Allan Poe, Baudelaire byliby uczynili zupełnie to samo.

Jeden z moich dobrych przyjaciół, wierny mi w ciągu lat dziesięciu, odwiedził mię niedawno i powiedział do mnie, że nie wierzy

ani w jedno słówko wytoczonego przeciw mnie oskarżenia, dał mi do zrozumienia, że jest najzupełniej przekonany o mojej niewinności, że uważa mię za ofiarę potwornego spisku. Łzy puściły mi się z oczu, kiedy tak mówił do mnie, i powiedziałem mu, że wprawdzie w oskarżeniu wiele jest punktów, któremi mię obciążono, a które zupełnie są fałszywe i zwalono je na mnie z iście o pomstę wołającą chytrą, że jednak życie moje pełne było uciech przewrotnych i osobliwszych skłonności. Jeśli nie pogodzi się z tym faktem i nie uprzytomni go sobie dokładnie, tedy niepodobna mi zostać nadal jego przyjacielem, ani też przebywać kiedykolwiek w jego towarzystwie. Był to dla niego cios okropny; przecież i teraz jeszcze jesteśmy przyjaciółmi, ja zaś nie wkradłem się w przyjaźń jego pod fałszywymi pozorami. Męka to mówić prawdę; aliści stokroć gorzej być zmuszonym do kłamstwa.

Było to podczas mego ostatniego procesu, siedziałem na ławie grzeszników i słuchałem miażdżącego oskarżenia Lockword'a; brzmiało ono jak ustęp z Tacyta, jak wiersz Danta

albo jedna z tych płomienistych mów Savonaroli przeciw papieżom rzymskim. Obrzydzenie mię zdjęło, gdym tego wszystkiego słuchał. Nagle błysnęła w głowie myśl: »Jakże wielkiem byłoby, gdybym sam wszystko to o sobie wypowiedział. I wnet stało mi się jasnym, że nie ma najmniejszego znaczenia to, co powiedziano o człowieku: chodzi o to, kto mówi. Najwznioślejszą chwilą człowieka — nie mam najmniejszej wątpliwości co do tego — jest ta, gdy pada on na kolana, bije się w piersi i wyznaje wszystkie grzechy swego żywota...

Siły uczucia, jak nam mówi jeden z ustępów »Intentions«, są w rozciągłości i trwałości swojej równie ograniczone, jak siły energii fizycznej. Niewielka czara, w której się pewna określona ilość pomieścić może, tyle właśnie potrafi zawrzeć w sobie i ani kropli więcej, chociaż wszystkie purpurowe beczki Burgundji po brzegi nalane winem, a włodarze brodzą po kolana w zbiorach kamienistych winnic Hiszpanji. Żadne błędne mniemanie nie jest tak bardzo rozpowszechnione, jak to właśnie, że ludzie, za których sprawą lub przyczyną

dzieją się wielkie tragedje, doznają uczuć, odpowiednich tragicznemu nastrojowi, żaden błąd nie jest tak fatalnym, jak właśnie to oczekiwanie od nich czegoś podobnego. Męczennik w swoim »gieźle z płomieni« ogląda może oblicze boskie, ale dla tego, który układa więzie chróstu albo poprawia główne, by wiatr rozdmuchiwał ogień, cała scena tyleż znaczy, co zabicie wołu dla rzeźnika, upadek podrażanego w lesie drzewa dla węglarza, albo śmierć kwiatu dla tego, który trawę kosi. Wielkie namiętności są dla wielkich dusz, wielkie zdarzenia pojąć mogą ci ludzie, którzy z niemi na jednej wysokości stoją.

Z artystycznego punktu widzenia nie znam w całej literaturze dramatycznej nic tak niezrównanego, nic bardziej pobudzającego przez subtelność obserwacji, jak ów sposób, w jaki Szekspir kreśli postaci Rosenkranza i Guldensterna. Są oni uniwersyteckimi druhami Hamleta: byli ongi jego towarzyszami. Przynoszą ze sobą wspomnienia dni radosnych. W chwili, gdy Hamlet spotyka się z nimi, chwijeje on się pod ciężarem brzemia, którego znieść nie mogą ludzie z jego usposobieniem. Umarły

dźwignął się uzbrojony z mogiły, by mu powierzyć posłannictwo, które jest dlań zarazem i za wielkiem i za niskiem. Jest on marzycielem, a ma działać. Jest on z usposobienia poetą, żądają zaś od niego ze zwykłym kojarzeniem się przyczyn i skutków, by walczył z życiem w jego praktycznej postaci, o której on pojęcia nie ma, a nie z życiem w jego idealnej treści, o której wie przecież wiele. Nie ma on pojęcia, co czynić, a szaleństwo jego na tem polega, że szaleństwo udaje. Brutus odziewa się melancholją, niby płaszczem, by łatwiej ukryć miecz swego zamiaru, sztylet swej woli; Hamlet używa szaleństwa jedynie jako maski dla swojej słabości. W grymasach, wykrzywających twarz i dowcipkowaniu wiodzi mnóstwo zwłoki. Igra on wciąż z czynem, jak artysta igra z teorią. Śledzi on swoje osobliwe postępowanie, podsłuchuje własne swoje słowa, chociaż wie dobrze, że to tylko »słowa, słowa, słowa«. Miast ośmielić się na krok taki, by zostać bohaterem własnej historii, usiłuje on stać się widzem własnej swej tragedji. Nie wierzy w nic, oczywiście i w siebie, a przecież na nic mu się nie przyda jego

zwątpienie, wypływa bowiem nie ze sceptycyzmu, ale z rozdwojenia woli. Tego wszystkiego nie rozumieją Gūldenstern i Rosenkranz. Kłaniają się, uśmiechają, wdzięczą; co jeden powie, wnet jak echo powtórzy drugi, ze wstrętnem znizeniem tonu. Gdy Hamlet narreszcie za pomocą gry w grze, za pomocą marjonetek i ich kuglarstwa pochwyti króla w »sidła własnego sumienia« i przerażonego okrutnika odpędzi od tronu, Gūldenstern i Rosenkranz widzą wówczas w jego postępowaniu jedynie nader drażliwe wykroczenie przeciw etykiecie dworskiej. Tak zaledwie jest im dane »na widowisko życia poprzez własne uczucia poglądać«. Są oni na tropie jego tajemnicy, a przecież nic o tem nie wiedzą. Nie miałoby też żadnego celu przypuszczenie ich do niej. Są oni małemi czarami, w których się tyle tylko — i ani kropli więcej — nie pomieści. Ku końcowi mamy napomknienie, że obaj oni przy jakimś łotróstwie wpadli w pułapkę i gwałtowną śmiercią zginęli, czy też zginąć mają. Ale tego rodzaju koniec tragiczny, chociaż go humor Hamleta do pewnego stopnia przyćmiewa zakrawającą na

komedję niespodzianką i sprawiedliwością, nie zdarza się przecież w rzeczywistości takim chwatom; tacy nigdy nie umierają. Horacjo, który chcąc Hamleta i sprawę jego uczynić zrozumiałemi dla niezadowolonych:

»jeszcze wieczności nie przekracza progów«
 »i z trudem w świecie nieznośnym oddycha«.

Horacjo umiera, chociaż nie przed oczyma widzów, i nie zostawia po sobie żadnego brata; Guldernstern i Rosenkranz są nieśmiertelni jak Angelo i Tartuffe, i powinni też stać w jednym z nimi szeregu. Są oni przyczynkiem społecznego życia do starożytnej idei przyjaźni. Jeśli kto napisze kiedy nową księgę »De amicitia«, powinien im także wyznaczyć niszę i sławić ich cyceronowską prozą. Są to stałe typy dla wszystkich czasów. Potępić je, znaczyłoby to nie umieć ich ocenić należycie. Ludzie ci po prostu niezdolni są do zrozumienia czegoś, co ich horyzont przekracza. To wszystko. Wielkość duszy nie jest zaraźliwą. Wzniósłym myślom i uczuciom właściwe jest osamotnienie.

Jeśli wszystko dobrze pójdzie, będę wolnym w końcu maja, w takim razie wolno mi

żyć nadzieję, że z Robbie i More... udamy się do cichego zakątka nad morzem, zagra= nicą.

Morze, powiada Eurypides w jednej ze swoich Ifigienji, zmywa plamy i rany, przez świat zadane.

Cieszę się nadzieją, że miesiąc przynajmniej spędzę z przyjaciółmi mymi, że w ich zdrowem, pełnem miłości towarzystwie odzyskam równowagę i spokój, serce wolniejsze od lęku i łagodniejszy nastrój. Odzywa się we mnie szczególniejsza tęsknota do wielkich, prostych pra=rzeczy, do morza, które mi jest macierzą, tak samo jak ziemia. Zdaje mi się, że my wszyscy za wiele przyglądamy się przyrodzie, a za mało z nią żyjemy. Widzę też wiele zdrowego rozsądku w stosunku Greków do przyrody. Nie rozgadywali się oni nigdy o zachodach słonecznych, nie zgłębiali pytania, czy cienie na murawie rzeczywiście są fioletowe, czy też nie. Ale uznawali, że morze jest dla pływaka, piasek zaś dla stóp biegających do mety. Miłowali drzewa za chłodny cień, który od nich padał, i las za tę głęboką ciszę, która w nim południową

porą panuje. Winiarz w winnicy wieńczył bluszczem czoło, by się uchronić od promieni słonecznych, gdy się nad młodemi latoroślami pochylał; dla artysty zaś i estety — tych dwu typów, które zawdzięczamy »Helladzie« — wito wieńce z liści gorzkiego lauru i dzikiej pietruszki, które na nic innego nie mogłyby się były przydać człowiekowi.

Nazywamy czas nasz dobą utylitaryzmu, a przecież nic nie umiemy wykorzystać. Zapomnieliśmy, że ogień może oczyszczać, woda oblewać, że ziemia jest naszą wszechmacierzą. Dla tego też sztuka nasza jest z księżycą i z cieniami igra, grecka zaś sztuka ze słońcą jest i ma do czynienia bezpośrednio z samymi przedmiotami. Przekonany jestem, że żywioły posiadają moc oczyszczającą, dla tego też chcę do nich powrócić i obcować z nimi. Zapewne, że dla kogoś, co jest tak bardzo »moderne«, jak ja, tak bardzo »enfant de mon siècle«, samo oglądanie świata będzie zawsze wielką rozkoszą. Drzę z radości na myśl, że gdy wyjdę z więzienia, w ogrodach właśnie zakwitnie bez i szczodrzenica, że zobaczę, jak wiatr będzie bezustannie wstrząsać wiszącym

złotem i osypywać bladopurpurowe puchy, aż wyda mi się, jakobym wszystkiemi wońmi Arabji oddychał. Linneusz upadł na kolana i zapłakał z radości, gdy po raz pierwszy ujrzał na jednym z wzgórz angielskich długie wrzosowisko, żółte od wydających silną woń kwiatów janowca; ja zaś, dla którego kwiaty stały się składnikiem tęsknoty, wiem, że czekają mnie łzy na płatkach róży. Tak się ze mną działo od lat najmłodszych. Nie ma barwy, ukrytej czy to w kielichu kwiatu, czy na brzeżku muszelki, którejbym nie odnalazł i nie odczuł dzięki subtelnej sympatji, łączącej mię z duszą wszelkiego stworzenia. Jak Gautier, byłem zawsze jednym z tych »pour qui le monde visible existe«. Teraz przecież wiem, że poza całym tem pięknem, jakkolwiekby ono było przekonywającym, ukrywa się duch dla którego wszystkie owe barwne postaci i wzory są jedynie formami, służącemi mu do przejawiania się; z tym właśnie duchem pragnąłbym znaleźć się w harmonji. Znużyło mię już niesłychanie to, tak łatwe do zrozumienia, uzewnętrznienie

się ludzi i rzeczy. Żywioł mistyczny w sztuce, żywioł mistyczny w życiu, żywioł mistyczny w przyrodzie — oto czego szukam — i odnajdę może w wielkich symfonjach muzycznych, w pełnym majestatu cierpieniu, w niezmiernych głębinach morza. Zaiste koniecznym jest, bym to odnalazł gdziekolwiek.

Wszelkie procesy zagrażają życiu, zupełnie tak, jak wszelkie wyroki są wyrokami śmierci. Trzy razy stawałem przed sądem. Po raz pierwszy, by z ławy oskarżonych dostać się do więzienia, po raz drugi, by jako więzień, znajdujący się pod śledztwem, znów do więzienia powrócić, po raz trzeci, by zostać wtrąconym na dwa lata do celi domu poprawy. Społeczeństwo, przy obecnym swoim nastroju, nie będzie miało dla mnie żadnego miejsca, nie może mi żadnego ofiarować, ale przyroda, która rzeźwiące deszcze jednako zsyła sprawiedliwym i niesprawiedliwym, znajdzie dla mnie w górach skaliste parowy, gdzie będę mógł ukryć się i głuche doliny, w których wolno mi będzie wypłakać się swobodnie. Rozjaśni gwiazdami płaszcz nocy, bym mógł, nie obrażając stóp moich, odejść

daleko, a wichrowi rozkaże zamieść moje ślady, by nikt nie mógł na krzywdę moją pójść za mną. Rozgrzeszy mię w swych wielkich wodach i uleczy gorzkimi ziołami.

*Cztery listy**Oskara Wilde' a do Roberta Ross' a z domu karnego w Reading*

I

6 stycznia 1896 r.

Miły mój Robbie!

Zastanów się teraz nad tem, co ci proponuję. Mniemam że żona moja, która w sprawach pieniężnych zawsze jest i wielką panią i wspaniałomyślną, zwróci wypłacone na moją część 75 funtów. Nie wątpię o tem wcale. Aliści żądanie musiałyby wyjść ode mnie, ja zaś nie powinienbym przyjmować od niej nic więcej prócz dochodu: mogę przyjmując to, co mi daje miłość i serdeczne przywiązanie, nie mogę przyjmując czegoś, co ktoś dobywa z kieszeni niechętnie lub pod pewnymi warunkami. Raczej wolałbym zostawić zupełną wolność mojej żonie. Mogłaby przecież wyjść za mąż. Wierzę przecież, że choćby wolną była, pozwoliłaby mi od czasu do czasu widywać moje dzieci. A to właśnie zdobyć

pragnę. Przedewszystkiem jednak muszę jej zwrócić wolność. Powinienbym to uczynić jak człowiekowi honoru przystoi, z pochyłą głową, poddając się wszystkiemu.

Zastanów się raz jeszcze nad tą sprawą, jaką stała się ona teraz przez Ciebie, dzięki Twemu nieopatrzniemu postępowaniu. A potem napisz mi co sam myślisz o tem, co myślą inni. Oczywiście, chciałeś jak najlepiej, ale właśnie Twój sposób pojmowania rzeczy był fałszywy. Szczerze i uczciwie mogę powiedzieć: dochodzę stopniowo do przekonania, że wszystko, cokolwiek się dzieje, dzieje się dla naszego dobra. Może to filozofja, może sposób myślenia złamanego serca, może religja albo tępe zobojętnienie rozpaczy. Z jakichkolwiek źródeł wypływa to uczucie, mniejsza o to — wiem, że mocnem jest ono we mnie. Byłaby to niesprawiedliwość wielka, gdybym żonę moją wbrew jej woli chciał przykuć do siebie. Zupełnie uzasadnione są jej żądania wolności. Wielką byłaby radość, gdyby mnie nie wspierała. Hańbą zaś i obelgą byłoby być na jej utrzymaniu. Naradz się w tej sprawie z Moore... Niech Ci pokaże list,

który do niego pisałem. Poproś również brata Twego, by mi rady udzielił. Zna się on doskonale na interesach.

A teraz dosyć już o tem.

Nie miałem jeszcze możności, by Ci za książki podziękować. A były mi one tak pożądane i miłe. Dotknęło mię ciężko zabranie czasopism, ale za to zachwyciła mię powieść Meredith'a. Jakaż to zdrowa artystyczna natura! Ma on bezwzględna słuszość, gdy w powieści broni przedewszystkiem tego, co jest zdrowem, niechże tak będzie, do tej pory i w życiu i w literaturze zdobywały sobie znaczenie nienormalności. Listy Rosetti'ego — to przeraźliwie przejrzyste falsyfikaty jego brata. Znalazłem w nich przecież niezmiernie ciekawy szczegół: oto »Melmoth« mego stryjecznego dziada i »Sydonia« mej matki należą do książek, pod których urokiem znajdował się w młodości. Go do spisku, który jakoby miał później powstać przeciw niemu, wierzę, że istniał on rzeczywiście i że środków nań dostarczył bank Hake. Zachowanie się drozda w Chegne Walk budzi niełada podejrzenie, chociaż William Rosetti mówi: »Nie

mogłem odnaleźć nic nadzwyczajnego w śpiewie drozda«. Listy Stevenson'a — to również gorzkie rozczarowanie. Widzę z nich, że dla romantyka otoczenie romantyczne jest właśnie najgorszem. Na Gower Street byłby Stevenson mógł napisać nowe dzieło à la »Trzej Muszkieterowie«. Na Samva pisał zaś listy o Niemcach do Timesa. I widzę też ślady tego, jak strasliwą walkę toczyć trzeba, gdy się chce wieść życie naturalne. Kto rąbie drzewo na własny pożytek, czy też dla użytku innych, ten niepowinienby posiadać możności opisywania tego: tak zwane życie codzienne jest faktycznie zupełnie nieświadomej natury. Stevenson w ten jedynie sposób rozszerzył dziedzinę sztuki, że zabrał się do kopania. Jednego tylko nauczyła mię owa nużąca i sucha książka: jeśli kiedykolwiek w przyszłości pędziłbym dni moje na czytaniu Baudelaire'a w jakimś Café, tedy, doprawdy, życie moje byłoby o wiele naturalniejsze, niż gdybym pracował jako naprawiacz żywołotów, albo sadił kakao na bagnistym gruncie. »En Route« stanowczo przeceniają. To tylko żurnalistyka. Ani razu nie zabrzmia

w uszach choćby jeden ton tej muzyki, o której mowa w książce. Temat prześliczny, ale zbyt pozbawiony wszelkiej wartości, martwy jakiś, zużyty. A francuszczyzna gorsza jeszcze niż u Ohnet'a. Ohnet stara się być oklepanym i udaje mu się to w zupełności; Huysmans zaś nie chce być oklepanym, a przecież jest nim... Powieść Hardy'ego sprawia dodatnie wrażenie, Harold Frederic napisał rzecz o bardzo ciekawej treści. W bibliotece więziennej niema prawie wcale powieści, któreby moi biedni spółwięźniowie czytać mogli. Postanawiam więc później ofiarować bibliotece z tuzin dobrych powieści: powinien być Stevenson, (niema nic prócz »The Black Arrow«), kilka utworów Thackeray'a (nic niema), Jane Austen (nic niema) i kilka dobrych książek w rodzaju Dumas'a ojca, np. Stanley Weyman i inni młodzi. Mówiłeś mi o jakimś protégé Henley'a? Antony Hope ma też swoje kółko, należałoby również uwzględnić kogoś z nich. Po Wielkanocy mógłbyś ułożyć spis z jakich czternastu nazwisk i postarać się o to, by mi go dostarczono. Książki te podobają się z pewnością tym niewielu, którzy

nic sobie nie robią z pamiętnika Goncourt'a. A nie zapomnij, że sam chcę za nie zapłacić. Z przerażeniem myślę, że, wracając na świat, nie będę mógł ani jednej książki swoją własną nazwać. Czy też przyjaciele moi obdarzą mię książkami, n. p...? Wiesz, jakie książki pragnąłbym posiadać: Flaubert, Stevenson, Balzac, Maeterlinck, Dumas Père, Keats, Marlowe, Chatterton, Coleridge, Anatole France, Gautier, Dante i cała literatura o nim, Goethe i cała literatura o nim i t. d. Uważałbym za ogromną uprzejmość takie przygotowanie książek dla mnie — może też mam jeszcze przyjaciół, którzy chętnie oddadzą mi usługę. Doprawdy, wiele jest we mnie wdzięczności, chociaż niestety, pozory zupełnie co innego mówią. Ale przecież nie zapominaj o tem, że poza pobytem w domu karnym, miałem jeszcze nieustanne kłopoty i nieprzyjemności.

Jako odpowiedź, przyslij mi długi, długi list o książkach i teatrze. Pismo twoje w ostatnim liście było tak okropne, jakbyś co najmniej pisał trzypięciotomową powieść o zatrważającym rozpowszechnianiu się idei komuniz-

stycznych wśród bogaczy, albo też skazywał na zatrącenie twą młodość, która była i będzie zawsze tak bardzo obiecującą. Jeśli jestem niesprawiedliwym wobec Ciebie, wymieniając nieprawdziwe przyczyny, musisz to złożyć na ową chorobliwą drażliwość, która jest skutkiem długiego uwięzienia. Ale proszę Cię, pisz wyraźniej. Inaczej bowiem zdaje mi się, że nie masz nic do ukrycia.

W liście tym znajdziesz pewnie niejedną wstrętą rzecz. Ale przecież musiałem Cię połączyć przed Tobą samym, a nie przed innymi. Niech list mój przeczyta More...; Harris zapewne odwiedzi mnie w sobotę. Proszę Cię, pozdrów Artura Clifton i żonę jego — uważam, że jest ona bardzo podobna do żony Rosetti'ego: te same wspaniałe włosy, ale oczywiście jest ona o wiele miłszą istotą, chociaż i miss Siddal jest czarującą, a również i wiersz jej »Ja«.

Zawsze Twój Oskar Wilde.

II.

6 kwietnia 1896 r.

Na wszystkie owe pytania, dotyczące się wyłącznie interesów, zechce może odpowiedzieć... Jeśli w liście jego będzie mowa tylko o interesach, może on dojść rąk moich. Sądzę, że nie stanie on na przeszkodzie twemu sprawozdaniu literackiemu, właśnie odczytał mi dyrektor Twoje poczciwe oświadczenie.

Miły mój Robbie, osobiście niewiele mogę Ci powiedzieć pocieszającego. Odmowna odpowiedź na moją prośbę o ułaskawienie spadła na mnie jak raz miecza. Ogłuszyło mnie uczucie tępego bólu. Karmiłem się nadzieją, a teraz żre mnie samego męka z takim namiętym głodem, jakby jej zbyt długo na tę karm czekać kazano. Znalazły się przecie w tej okropnej atmosferze więziennej żywioły przyjemniejsze niż dawniej: nie mogę się skarżyć na brak życzliwości dla mnie, bo też nie czuję się już tak zupełnie wyrzuconym poza szranki wszelkiego życia ludzkiego — co było mi przedtem takim lękiem i niedolą. Mogę

przynajmniej czytać Danta i robię sobie notatki i wyciągi z radości, że wolno mi znowu używać pióra i atramentu... Zdaje mi się, że jest mi lepiej pod niejednym względem. Chcę też zabrać się znowu do pracy nad niemczyzną. A więzienie wydaje się do prawdy odpowiedniem na to. Aliści przecież jeszcze czuję w sobie ostrze — ostrze tak bolesne, jak to, o którym Paweł mówi — chociaż oczywiście jest ono zupełnie innego rodzaju — muszę pozbyć się go w tym liście. Przyczyna jego — to wiadomość, którą mi na kawałku papieru przysłałeś. Gdybym zachował ją w tajemnicy, zdaje się, że zaczęłaby rozrastać się w mojej głowie (niby trujące rośliny) i przyłączyłaby się do tych wszystkich okropnych myśli, które mię trawią...

...Jest myśl dla tych, którzy milczący i samotni w więzach dni swoje pędzą, nie ową skrzydlatą, żywą istotą, jak ją sobie wyobrażał Plato, ale czemś martwym, co porażenie rodzi, niby bagniska, ślące potworne opary ku światłu miesięcznemu.

Mam na myśli to oczywiście, coś mi

powiedział, że mogę odstraszyć spólcucie innych, że istnieje niebezpieczeństwo takie dzięki tej głębokiej goryczy moich uczuć... Sądzę, że list mój widzieli i odczytywali inni. Nie chcę jednak, by listy moje były pokazywane jako *curiosum* — to niesłychanie wstrętne. Do Ciebie piszę otwarcie, jak do najdroższego z przyjaciół, których kiedykolwiek posiadałem; co zaś do spólcucia innych, to — z małemi wyjątkami — jest mi ono prawie zupełnie obojętne. Bowiem jeśli taki, jak ja, człowiek runie nagle w błoto życiowe, nie może się obejść bez tego, by ludzie o wiele niżej od niego stojący nie obdarzali go hojnie swem spólcuciem; ale wiem również, że widzowie męczą się, jeśli takie dziwowisko trwa za długo. Moja zaś tragedia trwała za długo; przeszła zaś punkt kulminacyjny, koniec jej jest haniebnie pospolity. Mam też zupełną świadomość tego, że gdy ostatni dzień więzienia upłynie, znajdę się jako nieproszony gość na świecie, który mię wcale nie pragnie. Ot taki *revenant*, jak mówią Francuzi, taki, którego oblicze długie więzienie pokryło szarością i poorало cier-

pieniem. Przerazający są umarli, gdy z mogli swoich powstają, ale pono bardziej jeszcze przerażający są żywi, wychodzący z grobu. Aż nadto dobrze wiem o tem wszystkim. Kto spędzi w celi więziennej osiemnaście strasznych miesięcy, ten dopiero widzi ludzi i rzeczy takimi, jakimi są w istocie. I może skamienieć na ich widok. Nie myśl, że przypisuję komukolwiek winę moich występków. Przyjaciele moi tak samo nie mieli z niemi nic wspólnego, jak ja z ich występkami. Natura, macocha nas wszystkich, umaczała w tę rękę. To jedynie im zarzucam, że nie umieli ocenić człowieka, którego zgubili. Nie obchodziło ich nic, póki stół mój mienił się purpurą wina i róż. Genjusz mój, moje życie artysty, prace moje i spoczynek, którego potrzebowałem, to wszystko było im niczem.

Przyznaję, straciłem głowę. Byłem tak oszołomiony, że już zatraciłem zdolność wyrokowania. Uczyniłem ten jeden zgubny krok. A teraz? Oto siedzę tu na ławie, w celi domu karnego. W każdej tragedji istnieje żywioł komiczny. Znasz śmieszna stronę

mojej tragedji. Nie sądz, że nie czynię sobie wyrzutów. I dniem i nocą klnę siebie za tę głupotę, która pozwoliła, bym jednej potędze oddał władzę nad życiem mojem. Gdyby wśród murów tych istniało echo, brzmiałyby ściany nieustannem wołaniem: »Głupcze! Głupcze!« Tak bardzo wstydzę się moich przyjacieli.

Bowiem powiedz mi, kto jest twoim przyjacielem, a ja ci powiem kim jesteś. To kamień probierczy dla każdego. I oto pali mię wstyd na myśl o mojem otoczeniu.

I jest to dla mnie codzien źródłem duchowego poniżenia. O kilku z nich nie myślę wcale. Nie napastują mię oni zupełnie. Nie mają żadnego znaczenia... W samej rzeczy, cała moja tragedia wydaje mi się śmieszna — i niczem więcej. Dla tego bowiem tylko, że się dał schwytać w pułapkę, znalazłem się teraz w najgłębszem błocie Malebolge między Gilles de Retz i markizem de Sade. Są miejsca, gdzie nie wolno śmiać się nikomu — chyba prawdziwym warjatom; a nawet gdy o nich chodzi, jest to uchybieniem wobec przepisów: inaczej pewnie śmiałbym się z tego...

Wogóle, nikt nie powinien sobie wyobrażać, że niegodne pobudki zapisuję innym na ich rachunek. Doprawdy, że nie mieli oni wogóle żadnych motywów w życiu. Motywy należą do dziedziny intelektu. Znali oni jedynie namiętności, zaś namiętności takie są fałszywymi bóstwami, które za wszelką cenę domagają się ofiary, a w danym wypadku znalazły one ofiarę, której »czoło laurem było spowite«.

I oto w liście moim pozbyłem się bolesnego ostrza. Te krótkie, pospiesznie ręką twą skreślone słowa, jątrzyły niesłychanie. Teraz o tem tylko myślę, byś znowu w zupełności odzyskał zdrowie, a kto wie, spiszesz może tę nadzwyczajną historję o...

Proszę Cię, niech zacna Twoja Matka oraz Aleck wiedzą, że ślę im słowa serdecznej podziękki. »Złocony sfinks« jest pewno jeszcze jednako wspaniałą. Wszystko, co jest dobrego w myślach moich i uczuciach, prześlij w mojem imieniu Lady... wraz z wyrazami pozdrowienia i hołdu, jakie tylko przyjąć zechce. Jest dusza jej świętością dla ranionych, schronieniem dla cierpiących.

Listu tego nie pokazuj innym, a w odpowiedzi nie wspominaj o nim. Opowiadaj mi o świecie cieniów, który tak bardzo kochałem. O życiu i o żywych mów mi także! Tak bardzo pragnąłbym wiedzieć coś o owadzie który mię ukłuł, a ból mój zna jeszcze zmiłowanie.

Twój Oskar Wilde.

III.

10 czerwca, 1896 r.

Miły mój Robbie!

Proszę Cię, niech Mr... napisze zaraz do adwokata list tej treści, że ponieważ żona moja obiecała mi wyznaczyć trzecią część na wypadek, gdyby umarła przedemną, ja zupełnie nie chcę się opierać tej dożywotniej rencie. Mam zupełną świadomość tego, że z mojej winy spadło na nią i na dzieci moje tyle nieszczęść i niedoli, że nie mam najmniejszego prawa opierać się w czemkolwiek jej życzeniom. Dobrą i serdeczną była dla mnie podczas swych odwiedzin tutaj. Mam do niej zupełne zaufanie. Proszę Cię,

niechże to zaraz będzie zrobione a przyja-
ciołom moim podziękuj za ich uprzejmość.
Czuję, że słusznie czynię, zostawiając to
wszystko mojej żonie.

Proszę Cię, napisz również do Stuarta
Merrill do Paryża albo do Roberta Sherard,
o tem, jak bardzo ucieszyło mnie wystawie-
nie mojej sztuki; niech Luigné-Poe dowie się
o mojej wielkiej wdzięczności; przecież to
coś znaczy, że mimo hańby i wstydu, znają
mnie jeszcze jako artystę. Pragnąłbym, by
danem mi było jeszcze więcej ucieszyć się,
ale podobno umarłem już dla wszelkich uczuć,
poza rozpaczą i zgryzotą. Ale mniejsza o to –
proszę Cię, niech Luigné-Poe dowie się,
że umiem ocenić zaszczyt, który mi wyrzą-
dził. On przecież też jest poetą. Boję się,
że trudno Ci będzie odczytać to wszystko,
ale niewolno mi wogóle pisać, to też zdaje
mi się, że się już zupełnie oduczył. Musisz
to uwzględnić. Podziękuj More... za to, że
zechciał mi przysłać książki, na nieszczęście,
dostaję nieznośnego bólu głowy, skoro tylko
zacznę czytać mych greckich i rzymskich
poetów. Do tej pory niewiele mam z nich

pociechy, ale z jego strony była to wielka
dobroć, że zajął się wyborem i przesyłką.
Proszę Cię również, byś pani, która mieszka
w..., wyraził moją wdzięczność.

Odpowiadając na list ten, pisz mi o lite-
raturze: o tem jakie książki wyszły i t. d.,
napisz mi również o sztuce Jones'a, o tem,
jak kieruje teatrem Forbes Robertson, napisz
o wszelkich nowych prądach w świecie sce-
nicznym Paryża i Londynu. Postaraj się
również dowiedzieć, co powiedzieli o »Sa-
lome« Lemaitre, Bauer i Sarcey i przeslij
mi choć krótkie streszczenie ich sądów. Na-
pisz do Henri Bauera, że wzruszyła mnie
jego pełna życzliwości rozprawa. Robert
Sherard zna go. Wielki to był dowód przy-
wiązania z Twojej strony, żeś mię odwiedził.
Musisz koniecznie być tu i na przyszły raz.
Otacza mnie tu lęk i przerażenie śmierci,
a życie tu straszniejsze od śmierci samej.
W milczeniu i nędzy pogrążony¹...

¹ W liście tym sprawiły owo spustoszenie nożyce dyre-
ktora więzienia – Majora Isaacson. Prawdopodobnie była tam
mowa o okrucieństwach i złem obchodzeniu się, co przy
owym dyrektorze zwykłą było rzeczą w stosunku do Wilde'a
i wszystkich innych więźniów. Wkrótce jednak miejsce dy-

Myszę o Tobie zawsze z głębokim przywiązaniem.

Chciałbym bardzo, żeby... zabrał z Oakley Street mój kuferek ręczny, ubranie, futro oraz książki moje, które mej drogiej matce podarowałem. Zapytaj....., na czyje imię zostało zakupione na cmentarzu miejsce na grób mej matki.

Zawsze Twój Oskar Wilde.

IV.

Więzienie królewskie,
Reading, 1 kwietnia 1897 r.

Miły mój Robbie!

Oprócz tego listu posyłam Ci rękopis, a mam nadzieję, że dojdzie w całości. Skoro tylko go przeczytasz, oczywiście i Moore..., którego zawsze także myślą ogarniam, każ przygotować bardzo staranny odpis. Chodzi mi o to z różnych przyczyn. Wystarczy i ta jedna. Chciałbym Cię na wypadek mojej śmierci uczynić wykonawcą

rektora zajął ludzki zacny major Nelson. Po wyjściu z więzienia Wilde nie mógł się nachwalić jego dobroci i zawsze chętnie i obszernie opowiadał o nim.

mego literackiego testamentu; chcę, byś miał najzupełniejsze prawo rozporządzania memi dramatai, książkami i rozprawami. Skoro tylko prawo przyzna mi możliwość sporządzenia testamentu, uczynię to natychmiast. Żona moja nie ma najmniejszego pojęcia o mojej sztuce, trudno też oczekiwać od niej, by ją to obchodziło. A Cyryl jest jeszcze dzieckiem. Więc zwracam się do Ciebie, jak to faktycznie ze wszystkim robię, i pragnąłbym bardzo przekazać Ci wszystkie moje dzieła. Deficyt ze sprzedaży niech przypadnie w udziale moim dzieciom.

Jeżeli zaś będziesz wykonawcą mego literackiego testamentu, tedy w posiadaniu Twojem musi znaleźć się jedyny dokument, który rzeczywiście wyjaśnia moje niezwykle postępowanie. Skoro przeczytasz list, znajdziesz psychologiczne wyjaśnienie mego postępowania, które, biorąc czysto zewnątrznie, zdaje się przyczynkiem do absolutnego wariactwa z odcieniem wulgarnej reklamy.

Kiedyś przecie prawda musi wyjść na wierzch — mniejsza o to, czy jeszcze wówczas żyć będę. Ale nie mam ochoty, by na

zawsze już zostać pod tym śmiesznym pręgiem, gdzie mnie postawiono. Przyczyna bardzo prosta: po ojcu moim i po matce odziedziczyłem imię, pełne zasłużonego rozgłosu; nie ścierpię, by imię to po wsze czasy zhańbione zostało.

Nie bronię mego postępowania. Objaśniam je. W liście moim znajduje się kilka ustępów, mówiących o moim duchowym rozwoju w domu karnym, o niechybnej zmianie, która dokonała się w charakterze moim, w moim intelektualnym stanowisku wobec życia. Ty i ci wszyscy, co wiernie przy mnie stoją i życzliwość dla mnie zachowali, powinni dowiedzieć się dokładnie, w jakim nastroju, w jakim usposobieniu mam nadzieję stanąć wobec świata. Zapewne, z mego punktu widzenia wiem, że w dniu uwolnienia mego przejdę jedynie z jednego więzienia do drugiego, — czasem też świat cały wydaje mi się nie większym od mej celi, a równie pełnym okropności. Wierzę przecież, że Bóg stworzył na początku dla każdego oddzielny świat, że właśnie w tym świecie, który w sobie nosimy, powinniśmy usiłować żyć. W każdym

razie, te części mego listu odczytasz z mniejszą nieprzyjemnością niż inne. Nie potrzebuję Ci chyba przypominać o tem, jak bardzo niestałem ciałem jest myśl moja — myśl nas wszystkich — jak bardzo zmienne i niestałe są nasze uczucia. Bądź co bądź, widzę przed oczyma memi cel możliwy, zbliżyć się doń mam przy pomocy sztuki. Prawdopodobnem jest również, że Ty mię na tej drodze wspierać będziesz.

Co się tyczy odpisu, manuskrypt jest za długi, by go jednemu przepisywaczowi powierzyć. A pismo Twoje w ostatnim liście, miły mój Robbie, było dla mnie jawną i wymowną przestrogą, bym Tobie zadania tego nie powierzał.

Według mnie nie zostaje nic innego, jeno postąpić jako ludzie naszego czasu i użyć maszyny do pisania. Oczywiście, rękopisu nie wolno Ci z rąk wypuścić. Czy nie mógłbyś więc zwrócić się do Mrs. Marshall, by którą ze swych młodych pań — na kobiety najprędzej spuścić się można, nie mają bowiem pamięci do rzeczy ważnych — przysłała na Hornton Street albo do Phillimore Gardens,

by tam pod Twoim nadzorem sporządzić odpis? Użycie maszyny do pisania, o ile ktoś z pewnem odczuciem w ruch ją wprowadza, nie jest, słowo daję, bardziej nieprzyjemnem od gry na fortepianie jakiejś siostry czy bliskiej krewnej. A nawet wiele z tych, co się zachwycają życiem rodzinnem, woli maszynę od fortepianu. Kopja niech będzie sporządzona na dobrym papierze, używanym zwykle do sztuk teatralnych, szeroki, czernono odkreślony margines na uwagi i dodatki. Gdy odpis będzie gotowy i sprawdzony podług oryginału, proszę Cię, odesłaj ten ostatni do ..., a pisząca na maszynie niech sporządzi jeszcze jedną kopję, byśmy obaj własne egzemplarze posiadali. Poza tem, jeszcze dwa odpisy, począwszy od stronicy czwartej dziesiątego arkusza od słów: »a koniec tego wszystkiego« do: »ale nie między sztuką a mną« (cytuję z pamięci); tak samo od stronicy trzeciej osiemnastego arkusza, od »jeśli wszystko dobrze pójdzie, przybędę wolny« do: »gorzkich ziół...« na stronicy czwartej. Złóż to razem z wyjątkami, które sam wybrać zechcesz, o ile uznasz je za dobre

i ze szlachetnych pobudek płynące, jak np. pierwsza strona piętnastego arkusza — i prześlij jeden egzemplarz Lady ..., o której mówiłem, nie wymieniając jej imienia, a drugi ... Wiem, że dwie te czarujące kobiety z wielkiem zajęciem słuchać będą, co dzieje się z mą duszą, oczywiście nie w żadnem teologicznem znaczeniu tej świadomości duchowej, która oddzielona jest zupełnie od powszednich spraw ciała. Jest to rodzaj wieści czy listu — jedyna rzecz, którą ośmielam się im przesłać. Jeżeli ... zechce pokazać swemu bratu, którego zawsze bardzo lubiłem, może to uczynić, ale oczywiście bezwzględna tajemnica wobec całego świata. Trzeba to dać również Lady ... do zrozumienia.

Jeżeli odpis będzie sporządzony na Horton Street, to może dama pisząca będzie odżywiana przez otwór w drzwiach, jak kardynałowie, przygotowujący się do obioru papieża — aż nareszcie wyjdzie na balkon i oznajmi światu «Habet Mundus Epistolam». W samej rzeczy, jest to przecież encyklika, a ponieważ bulle ojca świętego nazywają się od rozpoczynających je słów, niechżeby o tej

mówiono, jako o »Epistola in Carcere et Vinculis«... nie potrzebuje wiedzieć, że sporządzono kopję.

Zaiste Robbie, życie w domu karnym pozwala nam widzieć ludzi i rzeczy takimi, jakimi są w istocie. I dla tego zmienia ono człowieka w kamień. Tam, na świecie, ludzie dają się wciąż uwodzić ułudom życia, które jest w nieustannym ruchu. Razem z życiem obracają się oni wciąż dookoła i na nich również spada wina jego nierzeczywistości. My zaś, my, co bez ruchu stoimy, widzącymi i wiedzącymi jesteśmy.

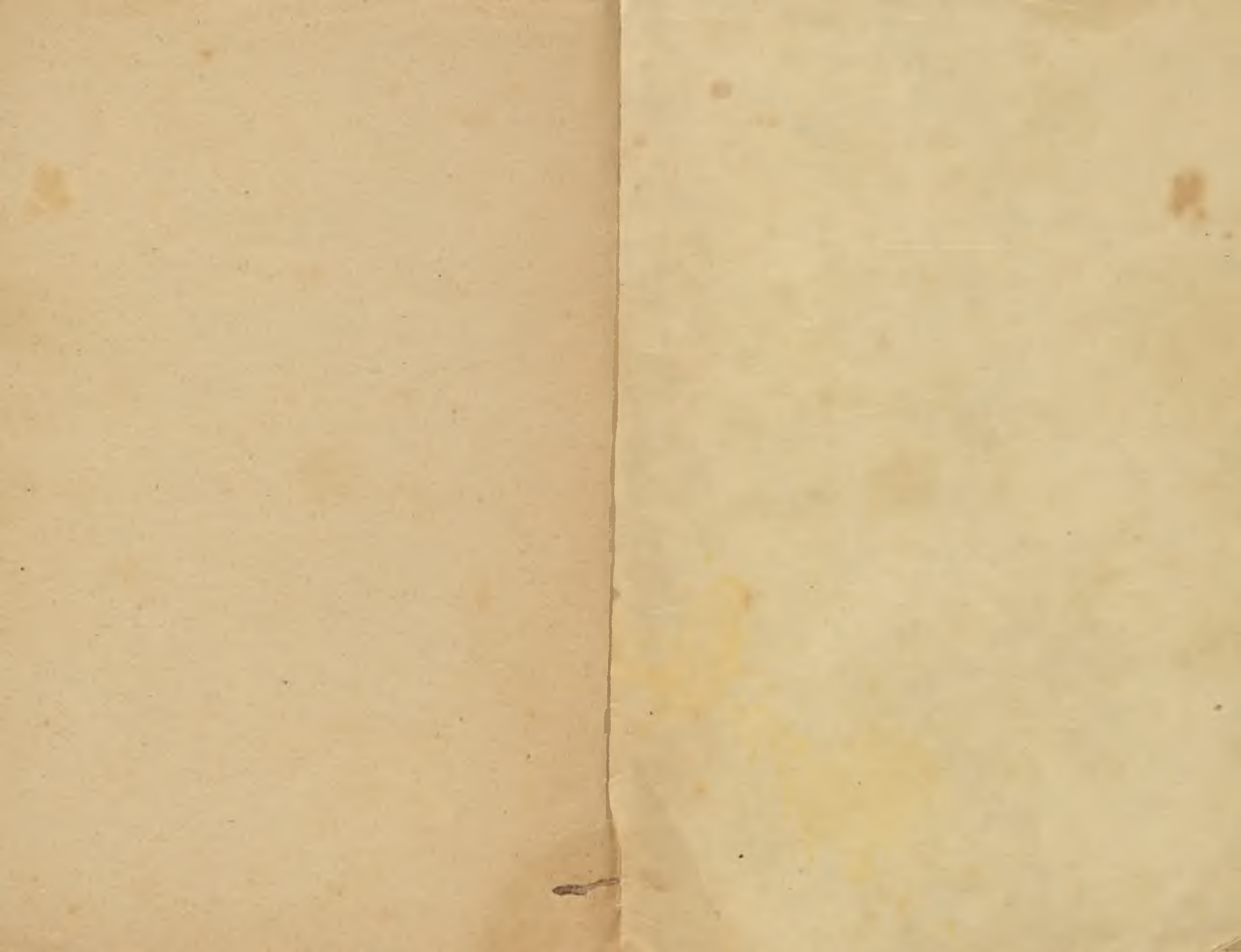
Czy list ten przyda się ludziom o ciasnych sercach i suchotniczych mózgach — nie wiem: mnie sprawił wiele dobrego. Ja »dałem wolę piersi nadmiarem goryczy uciśnionej« — przytoczę słowa poety, którego ongi obaj, ty i ja, chcieliśmy wydrzeć filistrom.

Nie potrzebuję Ci chyba mówić, że dar twórczy jest dla artysty najwyższą i jedyną formą istnienia. Żyjemy przez to właśnie, że się objawiamy. Za wiele, za bardzo wiele rzeczy muszę dziękować dyrektorowi, ale

najwięcej za to, że pozwolił mi pisać do Ciebie tyle i tak, jak chciałem.

Oto prawie dwa lata dźwigałem wciąż cięższe brzemię rozgoryczenia — teraz pozbyłem się go zupełnie. Tam, poza murem więziennym, stoi kilka nędznych, czarnych, osypanych sadzą drzew, na których właśnie zaczęły ukazywać się pączki, pączki o prawie krzyczącej zieleni. Wiem=ci dobrze, co się z nimi dzieje: dają one wyraz swej wewnętrznej istocie.

Zawsze Twój Oskar Wilde.



PISMA ZEBRANE
OSKARA WILDE'A

W PRZEKŁADZIE LEONA CHOROMAŃSKIEGO
MARJI FELDMANOWEJ i MARJI MARKOWSKIEJ

- I. OBRAZ DORJANA GRAY'A
- II. SZCZĘŚLIWY KSIĄŻĘ I INNE
OPOWIADANIA
- III. DE PROFUNDIS
- IV. DJALOGI O SZTUCE
- V. ZBRODNIA LORDA ARTURA
SAVILE'A I INNE NOWELE
- VI. TRAGEDJE
- VII. KOMEDJE
- VIII. POEZJE